tygodnik społeczno-kulturalny

odgłosy

Łódź

NR 1 (1204) ROK XXIV 4 STYCZNIA 1981 R. CENA 3 ZŁ

ANDRZEJ MAKOWIECKI

są! wśród! nas!

(KORESPONDENCJA Z GDAŃSKA)

Brudne śniegi dziesięciu zim
Nie wygłuszą milczenia grobów
Rosnącego w pochmurny hymn
Z przestrzelonej piersi narodu

Nylonowy okryje wór
Krwawy strzęp rykoszetem rozdarty
Ale duch, nieśmiertelny duch
Nic da dzielić żywych i martwych.

Tadeusz Szyma

1.

Wiersz ten ukazał się po raz pierwszy 15 grudnia 1980 roku w biuletynie SPOŁECZNEGO KOMITETU BUDOWY POMNIKA POLEGŁYCH STOCZNIOWCÓW w Gdańsku.

16 grudnia, w godzinach porannych, zamknięto ruch tramwajowy w okolicach drugiej bramy

Dalszy ciąg na str. 3

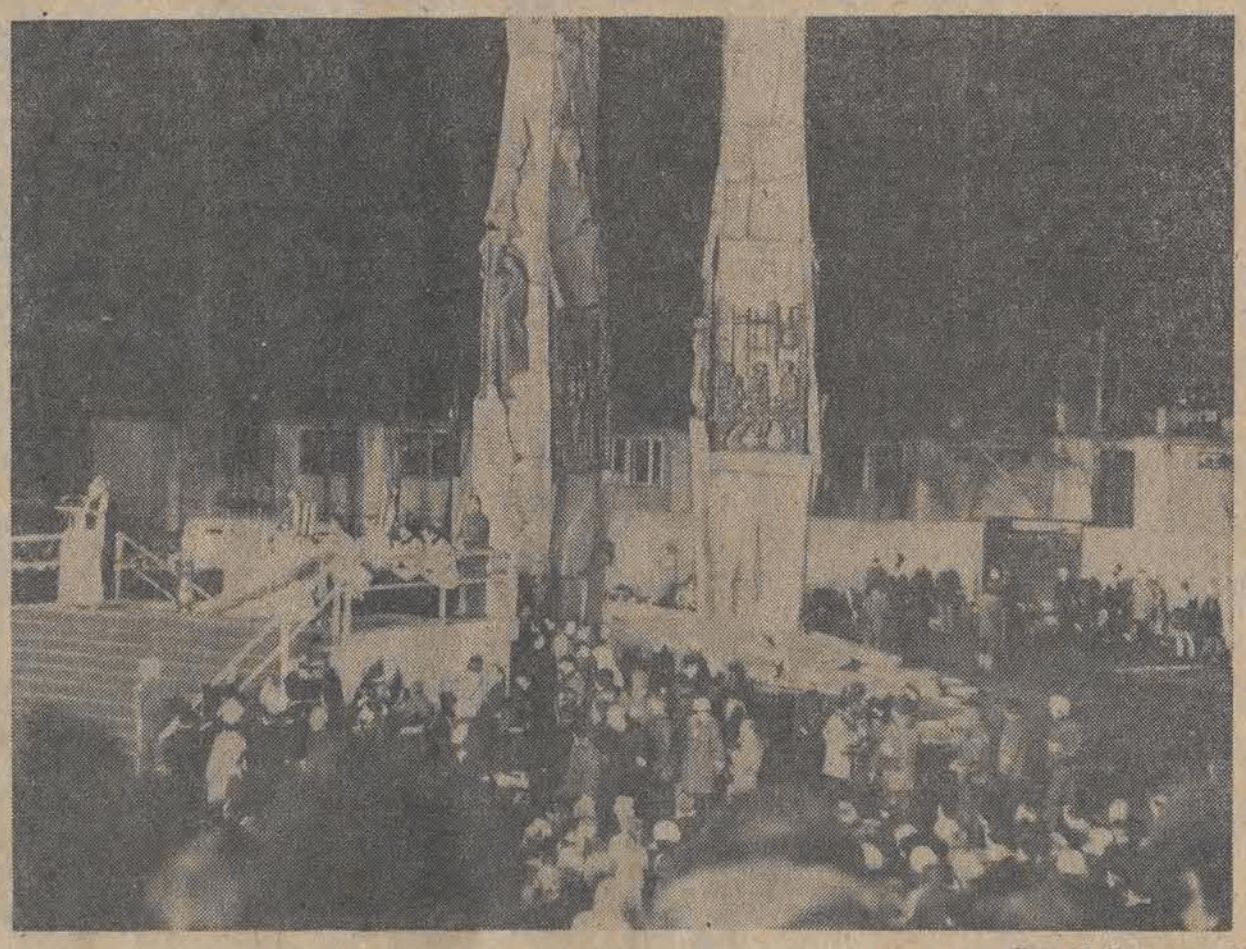

Foto: P. Tomaszewski

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

Z DZIEJÓW ŁÓDZKIEGO ŚRODOWISKA PISARSKIEGO

I

Burzliwy rozwój przemysłowy Łodzi nie tylko wyprzedził, ale i w pewien sposób przytłoczył jej rozwój kulturalny. Interes był tu wszystkim, cały świat kręcił się wokół pytania, „czy bawełna spada, czy ceny jej idą w górę, gdzie sprzedać, dokąd wysłać towar?". Czy można się zatem dziwić że w Łodzi „nie było wprost czasu na myśli o literaturze — nauce — sztuce!" W tym specyficznym klimacie wytworzył się nawet typ mieszkańca pogardliwie nazwanego „lodzermenschem", którego główną cechę stanowiła ustawiczna pogoń za dobrami materialnymi. W końcu ubiegłego stulecia miasto posiadało niewielki procent inteligencji, w jednej trzeciej zamieszkane było przez analfabetów, zaś polska kultura wyraźnie była dyskryminowana przez pozostałe nacje (wymownym świadectwem może być fakt, iż pierwsze polskie gimnazjum powstało w Łodzi dopiero w 1906 roku). W tej sytuacji z niejaką dumą przypomina się przy różnych okazjach książki z połowy dziewiętnastego wieku: **Oskara Flatta „Opisanie miasta Łodzi"** (1853) oraz **Wiktora Dłużewskiego „Paweł Łodzia-Kubowicz"** (1857) jako początek związków literatury z Łodzią.

Badacz łódzkiej kultury, **Ludwik Stolarzewicz**, napisał kiedyś, że **„jednostki o szerszych porywach nie osiedlały się w mieście materializmu, dymu i kominów"**. Sąd to może zbyt surowy, bo choć na ogół przejściowo zjawiali się tu ludzie parający się piórem, to przecież na przełomie wieku zebrało się w końcu grono osób związanych z Łodzią w sposób bardziej trwały — przykładowo wymieńmy redaktorów i publicystów **„Rozwoju"** czy **„Gońca Łódzkiego": Wiktora Czajewskiego, Leona Gajewicza, Stanisława Łempińskiego, Władysława Rowińskiego.** Pierwszy z tej listy, redaktor naczelny „Rozwoju", nie żałował literatom miejsca w swoim dzienniku, nie poprzestając zresztą na tym, ogłaszał konkursy literackie i teatralne. Wkrótce też problematyka łódzka pojawiła się na kartach utworów **Wincentego Kosiakiewicza, Władysława Stanisława Reymonta, Kazimierza Laskowskiego, Mariana Gawalewicza, Zygmunta Bartkiewicza, Artura Gliszczyńskiego,** spośród których dwa — o jakże wymownych w swej krańcowości tytułach — zdobyły prawdziwy rozgłos: **„Ziemia obiecana" Reymonta** i **„Złe miasto" Bartkiewicza.** Były to jednak w gruncie rzeczy indywidualne dokonania pojedynczych pisarzy, którzy

Dalszy ciąg na str. 8

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

ZJEDNOCZENIE
(Z najnowszej historii Polski—III)

Ziemie polskie zostały wyzwolone jakby w dwu rzutach. 18 lipca 1944 roku rozpoczęła się z rejonu Kowla ofensywa Armii Radzieckiej. W ramach 1 Frontu Białoruskiego w ofensywie udział brali żołnierze polscy. 20 lipca pod Dorohuskiem polscy artylerzyści, jako pierwsi żołnierze 1 Armii Wojska Polskiego weszli na polskie ziemie. Chełm Lubelski został wyzwolony 21 lipca, Lublin — 23 lipca, Zamość i Krasnystaw — 25. W sierpniu wolne już były między innymi: Rzeszów, Tarnobrzeg, Mielec, Dębica, Sandomierz We wrześniu: Wyszków, Ostrołęka, Łomża. 14 września 1944 roku wolna jest Warszawa prawobrzeżna. W Warszawie — powstanie. 21 października — wolne Suwałki.

Na przełomie lipca i sierpnia 1944 roku wojska radzieckie zdobyły przyczółki w rejonie Magnuszewa i Baranowa Sandomierskiego. Żołnierzom 1 Armii Wojska Polskiego nie udało się na początku sierpnia zdobyć przyczółka pod Dęblinem i Puławami. W kilka dni później żołnierze 1 Brygady Pancernej im. Bohaterów Westerplatte stoczyli ciężki bój na przyczółku magnuszewskim pod Studziankami z wojskami niemieckimi. W obronie północnej części tego przyczółka brali udział żołnierze 1 Armii WP. Żołnierze wojska polskiego próbowali też przyjść z pomocą walczącej Warszawie.

12 stycznia 1945 roku zaczęła się wielka ofensywa Armii Radzieckiej od Bałtyku po Karpaty. Przyniosła ona wyzwolenie Polsce. Przywróciła nam też Ziemie Zachodnie i Północne. 13 stycznia wolny już był Pińczów, 14 — Jędrzejów, 15 stycznia Kielce, Opatów, Grójec, 16 — Radom., Żyrardów, Częstochowa, Radomsko, Opoczno, Łowicz, 18 — Piotrków Tyrbunalski, 19 stycznia — Łódź, 28 — Katowice, 29 — Nowy Targ. 1 lutego wolny już jest Toruń, 11 lutego — Wałcz, Legnica, 14 — Zielona Góra, 23 — Poznań, 28 — Szczecinek 1 marca 1945 roku ruszyło natarcie wojsk 1 Frontu Białoruskiego, w ramach którego walczyli żołnierze 1 Armii WP. 4 marca wolny był Koszalin, rozpoczynała się bitwa o Kołobrzeg.

Później była wiosna nad Odrą. Żołnierze polscy brali udział w forsowaniu Odry, walczyli o Berlin. 9 maja 1945 roku skończyła się w Europie II wojna światowa

Dalszy ciąg na str. 6

„Planowanie gospodarcze musi być zdecentralizowane we wszystkich przypadkach, w których centralne decyzje dotyczące danej sytuacji, podejmowane są zbyt późno. Wówczas bowiem centralne planowanie staje się fikcją i następuje właściwie żywiołowy rozwój sytuacji, jeśli nie zastosuje się decentralizacji. Warto zaznaczyć, że we wszystkich krajach socjalistycznych w okresie wysoce centralistycznego planowania i zarządzania istniała w gospodarce duża ilość żywiołowych procesów tego typu".

Oskar Lange „Rola planowania w gospodarce socjalistycznej", 1958 r.

WITOLD KASPERKIEWICZ

Reforma gospodarcza

Środowisko ekonomistów zrzeszonych w Polskim Towarzystwie Ekonomicznym podjęło w początku października 1980 r. próbę opracowania koncepcji głównych rozwiązań reformy gospodarczej kraju. W efekcie tego zamierzenia zrodził się syntetyczny raport pt. **„Propozycje zasadniczych rozwiązań reformy gospodarczej w Polsce"**, który poddany został dyskusji i krytycznemu osądowi na łącznym posiedzeniu Zarządu Głównego PTE i powołanego zespołu do spraw reformy gospodarczej. Raport ów stanowi swoiste credo reprezentacji polskich ekonomistów w kwestii założeń i kształtu reformy systemu funkcjonowania gospodarki narodowej. Warto zauważyć, że wspomniany raport jest ukoronowaniem rozpoczętych w czerwcu 1980 r. prac dotyczących ocen diagnostycznych i propozycji systemowych, które prowadził wyłoniony przez Zarząd Główny PTE zespół złożony z ponad stu specjalistów — ludzi nauki i praktyków gospodarczych. Polski sierpień spowodował przyspieszenie prac i dostarczył nowych inspiracji społeczno-politycznych.

Problem reformy gospodarczej **przestał być wewnętrzną sprawą kręgu ekonomistów polskich** opracowujących swoje koncepcje w zaciszu, z dala od zgiełku nabrzmiewających trudności ekonomicznych kraju, a stał się sprawą ogólnonarodową. Prawdę mówiąc, wielu przedstawicieli polskiej ekonomii już przed laty postulowało nieodzowność głębokich zmian systemowych i sygnalizowało nadchodzący nieuchronnie kryzys społeczno-ekonomiczny. Głos ich był jednak przysłowiowym głosem „wołającego na puszczy". Głównym tenorem był natomiast głos tzw. ekonomistów dworskich zaangażowanych w różnych ciałach doradczych — partyjnych i rządowych. Chęć „zrobienia" szybkiej kariery i brak cywilnej odwagi spowodowały, że przyjęli oni postawę konformistyczną w stosunku do oficjalnej polityki ekonomicznej, a część ich nawet wyspecjalizowała się w uprawianiu apologetyki poronionych koncepcji władz centralnych. Wydaje się, iż środowisko autentycznych ekonomistów odcięło się zdecydowanie od tej grupy.

Dalszy ciąg na str. 4

Z NOWYM ROKIEM...

Zamykam stary kalendarz 1980 roku i, jak zwykle bywało, nie wyrzucam go do kosza. Bo wszystko jest inaczej niż bywało. I z tym kalendarzem i życiem, które od sierpnia, POLSKIEGO SIERPNIA, zagęściło się w podręcznych notatkach, w żaden sposób nie oddających wagi z rozmiarów problemów, z którymi przyszło nam wszystkim się zmierzyć. W ramkach każdego dnia ostatnich miesięcy zapisane nie kończące się zebrania, ważne spotkania, krótkie wyjazdy i pospieszne powroty, terminy zadań do wykonania „na wczoraj". Rytm nerwowy, spięty, atmosfera czarna od papierosowego dymu i nie tylko. Niepokój, gorycz, ale i przebłyski nadziei, spóźnionej satysfakcji, jakieś jeszcze nieskorodowane pokłady optymizmu. I świadomość, że ten ROK 1980 to już data historyczna, na którą zawsze będziemy się powoływać i wracać do niej w każdej potrzebie, mimo iż życie pójdzie naprzód. Rok upadku złudnej koncepcji sprawowania władzy wbrew pragnieniom społeczeństwa, rok ostatecznego krachu fałszywych założeń rozwojowych oderwanych od rzeczywistości. Kryzys zaufania i żałosny koniec sztucznie wyniesionych autorytetów. A jednocześnie początek czegoś naprawdę bezprecedensowego i wielkiego w 36-letniej historii Ludowej Polski.

I jak nigdy chyba ten moment wymiany kalendarza tak niewiele oznacza. Rok 1980 nie stał się przeszłością z dwunastym uderzeniem zegara w noc sylwestrową. Cezura czasu widzi mi się inaczej: Ten najważniejszy, akt pierwszy: od lipcowo-sierpniowych strajków do ostatniego dnia IX Nadzwyczajnego Zjazdu partii. A dopiero potem, możemy chyba mieć tę nadzieję, wejdziemy w normalny rytm czasu odmierzany pracą, nauką, walką o ideały, zasady, imponderabilia. I co nie mniej ważne: załatwienie zwykłych spraw dnia codziennego, z których też trzeba będzie zdać egzamin.

Tradycja jest jednak naszym dobrym prawem, a życzenia noworoczne zakorzenionym obyczajem. Nie łatwo je w tej sytuacji skreślić, bo rok miniony tak bezwzględnie sprowadził nas na ziemię, skompromitował obiegowe prawdy, że np. chcieć to móc. Są jednak na szczęście fakty, cały ciąg zdarzeń, które pozwalają przynajmniej na spokojne zastanowienie się nad przyszłością, na jakąś dozę ufności, że wszystko ułoży się po myśli 35 milionów Polaków. Nikt bowiem nie zaprzeczy, że już zdaliśmy pierwszy egzamin. Wobec siebie samych i wobec świata, który wstrzymał oddech na kilkanaście sierpniowych dni, by ze zmiennymi nastrojami, przyjaźnie lub z niepokojem śledzić przebieg tych złożonych, dramatycznych wydarzeń. Na tym tle nasza odporność psychiczna zarysowała się jeszcze bardziej wyraziście. Jak i umiejętność prowadzenia dialogu, zawierania kompromisów bez przeciągania struny, słowem, to wszystko co składa się na szeroki nurt socjalistycznej odnowy.

Jest nam ciężko i czeka nas kilka trudnych lat, ale ważniejsza jest świadomość, że tym razem jako naród i partia nie zmarnujemy szansy urządzenia naszego polskiego domu w sposób zgodny z naszymi marzeniami, aspiracjami i potrzebami. Tego przybliżenia szansy do możliwości, które będziemy realizować każdego dnia, życzmy sobie z całego serca.

JERZY WAWRZAK

19 GRUDNIA na zebraniu sprawozdawczo-wyborczym, łódzcy dziennikarze wybrali nowe władze oddziału łódzkiego Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Prezesem Oddziału został Jerzy Palka („Głos Robotniczy"). Natomiast na pierwszym posiedzeniu zarządu 22 grudnia wybrano wiceprezesów: **Andrzeja Królikowskiego** (Łódzki Ośrodek Telewizyjny), **Edmunda Tulko** („Dziennik Popularny") oraz sekretarza — **Małgorzatę Golicką** („Odgłosy") i skarbnika — **Zdzisława Strzępka** („Głos Robotniczy").

JUŻ 20 LAT działa w Łodzi Klub Młodych Pisarzy „Wiadukt". W ramach obchodów jubileuszu, w ZDK „Unionitex" zorganizowano seminarium poświęcone 20-letniej działalności klubu. Na spotkaniu wręczono Odznaki im. Janka Krasickiego. Otrzymali je członkowie-założyciele KMP „Wiadukt": Tadeusz Daszkiewicz, Jerzy Jarmołowski, Mirosław Kuźniak i Feliks Rajczak.

Ogłoszono także wyniki konkursu literackiego „Debiuty 80". Jury tegorocznego konkursu nagród nie przyznało. Wyróżnienia otrzymali: Daria Gradzik, Wacław Krakowski, Dorota Piętek.

GALERIA WYMIANY działająca przy Stowarzyszeniu „Dom Środowisk Twórczych" zorganizowała w grudniu forum pt „Fotografia, film — dokumenty naszej historii". Imprezę opracował Jacek Robakowski. Forum postawiło sobie za cel m. in. ożywienie będącego ostatnio w stagnacji reportażu fotograficznego. W programie, obok oficjalnych kronik filmowych, firmowanych przez PKF, znalazły się prace zawodowych reżyserów, operatorów i fotografów, a także prace amatorskie.

STEFANOWI BRATKOWSKIEMU wręczono nagrodę im Adolfa Bocheńskiego za twórczość publicystyczną. Ta nowo ustanowiona nagroda została ufundowana przez Mieczysława Pruszyńskiego, w 35 rocznicę śmierci Adolfa Bocheńskiego, który zginął jako żołnierz II Korpusu Polskiego. Przyznawana ona będzie co roku za oryginalność i wysoki poziom publicystyki politycznej, ogłoszonej na łamach krajowej prasy lub wydawnictw książkowych.

JUŻ PRAWIE od roku nie oglądaliśmy na łódzkiej scenie jednej z najbardziej chyba popularnych i lubianych oper — „Carmen" Georgesa Bizeta. W grudniu wystawiono- ja ponownie. Było to 75 wykonanie przedstawienia, którego realizatorami byli: Alfred Sistig (RFN) — inscenizacja i reżyseria, Wojciech Zieleziński — scenografia, Witold Borkowski — choreografia, Zbigniew Pawelec — przygotowanie chóru. Orkiestrą dyrygował Kazimierz Więcek.

KRONIKA KULTURALNA

ODBYŁO SIĘ walne zebranie delegatów, członków Łódzkiego Towarzystwa Muzycznego im. Karola Szymanowskiego. Wybrano nowe władze organizacji. Prezesem został ponownie prof. Józef Karol Lasocki, wiceprezesami doc. Franciszek Wesołowski, doc. Mirosław Pietkiewicz.

W GALERII SZTUKI BWA, ul. Wólczańska 33, czynna jest wystawa poplenerowa IV Pleneru Olimpijskiego „Spała 79".

ZWIĄZEK POLSKICH ARTYSTÓW PLASTYKÓW i Biuro Wystaw Artystycznych są organizatorami II Triennale Satyry „Łódź 1980". Wystawę można oglądać w Salonie Sztuki Współczesnej.

W GALERII BAŁUCKIEJ, Stary Rynek 2, od 18 grudnia czynna jest wystawa fotografii Susanne Taschner (Austria) pt. „Kazimierz — przemijająca teraźniejszość". Wystawa przygotowana została przez Instytut Kultury Austriackiej w Warszawie, Centralne Biuro Wystaw Artystycznych w Warszawie i BWA w Łodzi.

„LATA SIEDEMDZIESIĄTE. Nowe malarstwo amerykańskie" — to tytuł wystawy otwartej 19 grudnia w Ośrodku Propagandy Sztuki w Parku im. Sienkiewicza.

JUŻ OD czterech i pół roku działa w Łodzi Federacja Stowarzyszeń Twórczych. W chwili obecnej federacja zrzesza aż 19 stowarzyszeń. W grudniu odbyło się walne zebranie tej organizacji. Referat sprawozdawczy wygłosił prezes, Ryszard Budzyński. Federacja, której zadaniem jest koordynowanie działalności towarzystw członkowskich, była w okresie ostatnich dwu lat współorganizatorem wielu imprez artystycznych o zasięgu regionalnym i ogólnopolskim.

W dyskusji na zebraniu, obok spraw wewnętrznych federacji, podnoszono także wiele problemów dotyczących życia kulturalnego Łodzi, m. in. potrzebę większej niż dotąd dbałości o tradycje kulturalne miasta. Wybrano także nowe władze Federacji. Prezesem Zarządu został ponownie Ryszard Budzyński, a wiceprezesami: Marian Gwizdka i Mieczysław Woźniakowski.

ROZSTRZYGNIĘTO OGÓLNOPOLSKI konkurs, organizowany przez PCK i SDP, dla dziennikarzy prasy, radia i telewizji na temat działalności Polskiego Czerwonego Krzyża. Miło nam donieść, że pierwsze miejsce zdobyła dziennikarka „Głosu Robotniczego" — red. **Hanna Jaśkiewicz.**

ŁODZIANOM POD ROZWAGĘ

W dniu 17 listopada powstała Rada Stowarzyszeń i Związków Twórczych w Łodzi skupiająca przedstawicieli: Stowarzyszenia Architektów Polskich, Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, Stowarzyszenia Filmowców Polskich, Stowarzyszenia Polskich Artystów Muzyków, Stowarzyszenia Polskich Artystów Teatru i Filmu, Towarzystwa Urbanistów Polskich, Związku Kompozytorów Polskich, Związku Literatów Polskich, Związku Polskich Artystów Fotografików, Związku Polskich Artystów Plastyków, Związku Polskich Autorów i Kompozytorów Utworów Rozrywkowych.

Rada Stowarzyszeń i Związków Twórczych w Łodzi przedstawia łodzianom uwagi i propozycje na temat stanu życia kulturalnego oraz sytuacji środowisk twórczych w naszym mieście. Rada ma wszelkie podstawy mniemać, że wyraża poglądy i opinie ogromnej większości pracujących w Łodzi artystów.

1. Rada stwierdza, że w ostatnim dziesięcioleciu metody organizowania życia kulturalnego w Łodzi ulegały coraz intensywniejszej biurokratyzacji. Organy społeczne — takie jak Rada Narodowa czy Komitet Łódzki PZPR — praktycznie przestały zajmować się problematyką kultury, wobec czego podstawowe w tych sprawach decyzje podejmował aparat wykonawczy, działający autorytatywnie i wówczas gdy działanie było już niezbędne. Podjęcie szczegółowej decyzji programowej, budżetowej czy personalnej miało w pracy aparatu zdecydowane pierwszeństwo przed pracami o charakterze długofalowym, koncepcyjnym.

Biurokracja w organizowaniu życia kulturalnego towarzyszyła praktyce traktowania bazy lokalowej dla działalności artystycznej jako sprawy drugorzędnej. W rezultacie po 35 latach od zakończenia wojny Filharmonia pracuje w budynku stojącym w obliczu śmierci technicznej; bezcenne zbiory Muzeum Sztuki przechowywane są w warunkach zagrażających ich dalszemu istnieniu; nie ma w mieście galerii sztuki godnej tego miana. Z planu rekonstrukcji Łodzi zarysowanego z rozmachem początku lat siedemdziesiątych inwestycje na rzecz bazy działalności artystycznej wykreślone zostały w pierwszej kolejności. Ostatecznie jedynym poważnym osiągnięciem zrealizowanym w tym zakresie w ciągu powojennego trzydziestopięciolecia wciąż pozostaje Teatr Wielki.

2. Rady wzywa do zdecydowanego odrzucenia głoszonych tu i ówdzie poglądów, według których sprawy kultury winny być w Łodzi rozwiązywane w drugiej kolejności, po załatwieniu problemów ekonomicznych. Pogląd ten jest niesłuszny nie tylko dlatego, że sprzeciwia się pryncypiom naszego państwa lecz przede wszystkim dlatego, że nie uwzględnia rzeczywistych potrzeb łodzian. Drugie co do wielkości miasto w Polsce, największe w naszym kraju skupisko robotnicze, jest niewątpliwie miejscem, w którym problemy jakości życia występują szczególnie ostro ale właśnie dlatego organizowanie aktywności kulturalnej łodzian wymaga szczególnej uwagi i wysiłku. Aktywność ta jest przecież istotnym składnikiem jakości życia.

Rada wyraża przekonanie, że pierwszym krokiem na drodze odnowy aktywności kulturalnej łodzian winna być krytyczna analiza struktur określających dotychczas tę dziedzinę społecznej działalności. Konieczne jest przede wszystkim zapewnienie w tych strukturach właściwej, decydującej roli organom społecznym. Rada jest przekonana, że już sam fakt wykorzystania wyzwolonej z biurokratycznych ograniczeń inicjatywy społecznej i społecznej aktywności wydatnie wzmocni tętno życia kulturalnego w województwie miejskim.

3. Biurokratyzacja życia kulturalnego i odsuwanie na plan drugi niezbędnych kulturze inwestycji występowała, jak wiadomo, w całym kraju. Rada sądzi, że na te ogólnopolskie deformacje nałożyło się w Łodzi zjawisko charakterystyczne dla naszego miasta: słabe jeszcze zakorzenienie się w organiźmie miejskim względnie nowego elementu jakim są środowiska twórcze i — z drugiej strony — atrakcyjność dla artystów tych centrów kulturalnych, w których środowiska twórcze miały czas potrzebny na dopracowanie się rzeczywistego społecznego autorytetu. Ta specyficznie łódzka sytuacja nie była dostatecznie uwzględniona w praktyce działania władz.

Autorytatywność programowych, personalnych czy budżetowych decyzji aparatu wykonawczego artyści łódzcy przyjmowali jako wyraz lekceważenia ich doświadczeń i kompetencji. Brak troski o rozwój i poprawę warunków działalności placówek artystycznych odczuwali jako ograniczanie możliwości odbioru owoców pracy tych placówek przez mieszkańców miasta; zawężanie płaszczyzny kontaktów między ogółem mieszkańców a środowiskami twórczymi a wreszcie jako wyraz obojętności wobec warsztatów ich pracy. Przyznawanie dorocznych czy jubileuszowych nagród odbierane było w tej sytuacji przez środowiska artystyczne jako zalecane protokołem gesty a odczucia takie pogłębiał brak jakichkolwiek przedsięwzięć zmierzających do zapoznania łodzian z tym co dla laureata czy jubilata najważniejsze — z jego artystycznym dorobkiem. W rezultacie pracujący w Łodzi artyści często odnosili wrażenie, że ich praca dyskontowana jest przede wszystkiem dla prestiżu władz miasta a nie dla rzeczywistego pożytku jego mieszkańców.

Rada stwierdza, że w praktyce działania władz wciąż jeszcze nie znalazł rozwiązania dylemat: czy Łódź ma być dla artystów etapem na drodze do innych ośrodków kulturalnych czy też praca w naszym mieście dawać będzie artystom pełną moralną satysfakcję i wiązać ich z nim trwale. Rada jest przekonana, że tylko to drugie rozwiązanie może być brane pod uwagę gdyż odpowiada istotnym potrzebom mieszkańców Łodzi. Realizacja tego rozwiązania wymaga jednak gruntownej analizy i udoskonalenia metod organizacji życia kulturalnego w mieście.

4. Rada zgłasza swoją gotowość do współuczestnictwa w pracach nad sformułowaniem struktury organizującej aktywność kulturalną łodzian i sądzi, że winna stać się jednym z elementów tej struktury. Nie krępując w niczym Zarządów poszczególnych Stowarzyszeń czy Związków Twórczych, dla których nie jest organem zwierzchnim, Rada zamierza:

— przedstawiać propozycje mające na celu wzbogacenie życia kulturalnego miasta,

— sugerować sposoby wykorzystywania dorobku łódzkich twórców do budowania więzi emocjonalnych łodzian z ich miastem i do wizualnej organizacji miasta,

— opiniować artystyczne i organizacyjne inicjatywy angażujące środowiska twórcze,

— wypowiadać się na temat statusu społecznego artysty, i w sprawach warsztatów pracy artystycznej w mieście,

— konsultować decyzje personalne odnoszące się do obsad kierowniczych stanowisk w placówkach artystycznych.

Rada uważa, że wszystkie wymienione tu zagadnienia i sprawy nie powinny być rozstrzygane bez wysłuchiwania głosu środowisk twórczych.

5. Rada jest przekonana, że jej opinie i propozycje zostaną przyjęte jako wyraz dążeń środowisk artystycznych do wzmocnienia tętna życia kulturalnego miasta i w takim zrozumieniu staną się tematem dyskusji. Rada nie wątpi, że jej dążenia spotkają się z poparciem ogromnej większości mieszkańców naszego województwa miejskiego świadomych roli jaką kultura i sztuka spełniać powinny w utrwalaniu i pogłębianiu odnowy naszego życia. Przeświadczenie o istnieniu armii tych sprzymierzeńców leży u podstaw tego wystąpienia Rady.

Rada dążyć będzie do nawiązania i rozwinięcia współpracy z wszystkimi zainteresowanymi problematyką działalności kulturalnej i artystycznej organizacjami społecznymi z NSZZ „Solidarność" na czele.

Rada ma nadzieję, że jej gotowość do współuczestniczenia w pracach nad wzmożeniem aktywności kulturalnej łodzian zostanie zauważona i rozważona przez polityczne i administracyjne władze miasta, które umożliwią włączenie Rady do roboczych rozmów „o skutecznym rad sposobie" nad wzbogaceniem i ubarwieniem kulturalnego portretu Łodzi.

RADA STOWARZYSZEŃ I ZWIĄZKÓW TWÓRCZYCH

TYDZIEŃ W POLITYCE

Polska w porozumieniu ze swoimi sojusznikami zgłosiła w Madrycie, na spotkaniu przedstawicieli 35 państw, **propozycję zwołania konferencji odprężenia militarnego i rozbrojenia w Europie**. Ideę tę, jak wiadomo, wypracowały kraje Układu Warszawskiego, a następnie Polska zaproponowała, aby miejscem konferencji była Warszawa. Teraz uściśliliśmy także jej termin, wysuwając wniosek, aby zebrała się ona w październiku przyszłego roku. Piszemy: zebrała, a nie np. odbyła, ponieważ konferencja miałaby swoje etapy i w Warszawie, w wymienionym terminie, po prostu rozpoczęłaby się. (Warto w tym miejscu dodać, że również projekt francuski, zgłoszony w Madrycie w dzień po naszym, zakłada etapowość konferencji).

Projekt Polski głosi, że **konferencja powinna rozważyć i uzgodnić środki budowy zaufania między państwami**, uzupełniając już realizowane, nowymi. Chodzi o uzgodnienie posunięć politycznych i prawno-traktatowych, zmierzających do zmniejszenia niebezpieczeństwa wybuchu wojny w Europie, umocnienia gwarancji bezpieczeństwa dla wszystkich państw i podjęcia środków, obniżających poziom konfrontacji i koncentracji militarnych — łącznie z ograniczeniem działalności wojskowej i redukcją sił zbrojnych i zbrojeń. **Konferencja** — w myśl tego projektu — **powinna ustalić konkretne porozumienia**, poczynając od środków najprostszych, a na bardziej złożonych kończąc.

Zaproponowaliśmy, aby pierwszy etap konferencji poświęcony był opracowaniu i przyjęciu środków budowy zaufania, drugi natomiast — zmniejszeniu poziomu konfrontacji i koncentracji militarnych. Oczywiście — uwzględniono by przy tym rezultaty rokowań w sprawie ograniczenia zbrojeń, toczących się w innych gremiach.

Projekt podkreśla, że uzgodnienia na powyższe tematy nie mogą przynieść uszczerbku bezpieczeństwa żadnego z państw i że wyniki konferencji nie będą skierowane przeciwko krajom trzecim.

Propozycja Polski — zauważyły agencje prasowe — **jest pierwszą inicjatywą, złożoną na madryckim spotkaniu, skierowaną na przyszłość.** I to incjatywą — dodajmy — doniosłą. To bowiem, co ciąży przede wszystkim na aktualnym stanie stosunków międzynarodowych i utrzymuje stan napięcia, wiąże się z trwającym nadal i wciąż powiększającym się wyścigiem zbrojeń. Konieczne więc jest odprężenie militarne, a takie mogłaby zapoczątkować ogólnoeuropejska konferencja.

Nasza propozycja ma kilka prostych zalet: po pierwsze: jest otwarta i nie wiąże się z żadnymi warunkami wstępnymi, po drugie: w najmniejszym stopniu nie wpływa na hamowanie rozmów rozbrojeniowych, a nawet odwrotnie — zakłada spożytkowanie ich wyników, po trzecie: kumuluje różne poglądy i opinie, wypowiadane wcześniej przez wielu polityków, po czwarte: stopniuje omawianie i rozwiązywanie spraw na konferencji w zależności od ich złożoności, a więc umożliwia kolejne porozumienia, po piąte: pozwala przygotować się do konferencji przez np. wcześniejsze uzgodnienia.

I jeszcze jedna uwaga: w prasie zachodniej oraz zachodnich rozgłośniach namnożyło się ostatnio wiele spekulacji na temat Polski, charakteru i następstw przeżywanych przez nas sytuacji. Tym większe ma więc znaczenie, że propozycja zwołania konferencji odprężenia militarnego i rozbrojenia w Europie zgłoszona została oficjalnie przez nasz kraj, i że potwierdziliśmy gotowość udzielenia jej gościny w Warszawie. **Państwo, które z taką inicjatywą występuje, musi przecież mieć pewność pokonania trudności własnymi siłami.**

Do dzisiejszego przeglądu aktualiów międzynarodowych włączmy jeszcze jeden temat: wizytę L. Breżniewa w Indiach. Dała ona bowiem okazję nie tylko do rozmów i porozumień bilateralnych, lecz również **przedłożenia przez ZSRR nowej odprężeniowej oferty.** Została ona zgłoszona pod adresem mocarstw zachodnich, Chin i krajów Zatoki Perskiej i brzmi: **zawrzyjmy porozumienie,** że nie będziemy w strefie Zatoki zakładać obcych baz wojskowych, rozmieszczać broni jądrowej, stosować siły lub odwoływać się do groźby jej użycia oraz ingerować w wewnętrzne sprawy państw. Sygnatariusze porozumienia mieliby ponadto szanować status niezaangażowania państw rejonu Zatoki, nie wciągać ich do żandych bloków militarnych, a także respektować prawo każdego z nich do własnych zasobów naturalnych.

Znaczenie radzieckiej propozycji ocenić można łatwo, pamiętając, jakie to napięcia i dlaczego w tym rejonie świata występują. Jest to więc **naprawdę szczególnie cenna inicjatywa pokojowa.**

W. SŁAWSKI

AUKCJA DZIEŁ SZTUKI I KSIĄŻEK

14 grudnia wnętrza Ośrodka Propagandy Sztuki (park Sienkiewicza) zapełniły się ludźmi. Nawet najbardziej interesujące wystawy tam prezentowane nie miały tylu widzów, ilu obserwatorów i nabywców zgromadziła aukcja na rzecz „Solidarności".

Przygotowały ją: Związek Polskich Artystów Plastyków, Muzeum Sztuki, Biuro Wystaw Artystycznych, Państwowa Wyższa Szkoła Sztuk Plastycznych, Biblioteka Miejska im. L. Waryńskiego, Stowarzyszenie Bibliotekarzy Polskich.

Przez dwa tygodnie poprzedzające aukcję instytucje upowszechniające sztukę zbierały dary: obrazy, grafiki, rzeźby, tkaniny, biżuterię. Ofiarodawcami byli plastycy łódzkiego środowiska artystycznego, studenci uczelni plastycznej, artyści amatorzy. Na aukcję przekazały prace nieżyjących już twórców rodziny W. Kondka, J. Skrobińskiego, J. Piaseckiego.

Aukcję prowadzili aktorzy scen łódzkich zrzeszeni w „Solidarności" i działający w międzyinstytucjonalnej Komisji Kultury. Reprezentowali teatry: Wielki, Nowy, Jaracza, Powszechny, Tuwima, Arlekin.

Ceny, od jakich zaczynano licytację były bardzo dostępne, niskie. Grafiki sprzedawano od 300 złotych (autorstwa studentów PWSSP) lub 500 (autorstwa znanych twórców), obrazy miały jedną cenę wywoławczą — 1.000 zł.

Grafiki osiągały wartość do kilku tysięcy złotych, najwięcej zapłacono za prace S. Fijałkowskiego i W. Kondka.

Akwarela „Polowanie" T. Kokietka osiągnęła zawrotną cenę — 19.000 zł.

Ze sprzedaży 173 prac plastycznych uzyskano 333 tysiące 245 złotych. Interesującym akcentem aukcji była zbiórka pieniędzy dokonana przez kupujących i obserwatorów, za które zakupiono rzeźbę K. Solskiej „Kościuszko" — portret głowy T. Kościuszki wykonany w technice gipsu patynowego. Rzeźba ta przekazana zostanie dla III Liceum Ogólnokształcącego im. T. Kościuszki w Łodzi.

Równolegle ze sprzedażą sztuki trwała sprzedaż książek prowadzona przez bibliotekarzy i bibliofilów. Przyniosła ona łącznie sumę 30 tysięcy 482 zł.

Cały dochód uzyskany z aukcji przeznaczony został na dofinansowanie działalności MKZ „Solidarność" Ziemi Łódzkiej.

MARIA KĘPIŃSKA

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (I z-ca redaktora naczelnego), JERZY KATARASIŃSKI (z-ca redaktora naczelnego), EUGENIUSZ IWANICKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI, KONRAD FREJDLICH, MAŁGORZATA GOLICKA, JACEK INDELAK, RYSZARD ŁUCYSZYN (fotoreporter), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny). Stale współpracują: TADEUSZ CHROŚCIELEWSKI, GRZEGORZ GAZDA, ANDRZEJ F. GRABSKI, PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, EWA PANKIEWICZ, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY WILMAŃSKI.
Korekta: MARIA GRABSKA, KRYSTYNA SARDECKA.

są! wśród! nas!

(KORESPONDENCJA Z GDAŃSKA)

Dalszy ciąg ze str. 1

portowej. Pomnik otoczono kolistą barierą. Ustawiono również bariery w innych miejscach placu, tak, aby w momencie kulminacyjnym utrzymywać kontrolę nad kilkusettysięcznym tłumem. Porządku pilnowali ludzie w żółtych hełmach, z biało-czerwonymi opaskami na ramieniu — stoczniowcy. Takiego porządku, w sensie pozytywnym, nie widziałem jeszcze nigdy w życiu.

Już przed południem wokół głównej, najbliższej pomnikowi bariery, formowały się kordony Polaków — z Trójmiasta oraz ze wszystkich stron kraju. Większość zajmowała dogodne miejsce, aby wytrwać tu, sześć godzin w zimnie i porywającym wietrze, aż do chwili rozpoczęcia uroczystości. Mieli ze sobą lornetki, aparaty fotograficzne, kamery filmowe; niektórzy, z uwagi na znikome szanse znalezienia noclegu, przyszli wprost z dworca kolejowego, objuczeni torbami i plecakami; niektórzy ściskali w rękach wiązanki kwiatów, które dane im było złożyć pod pomnikiem dopiero w późnych godzinach wieczornych.

Patrzyli. Stali tak, ramię przy ramieniu, głowa przy głowie, serce przy sercu, i patrzyli. Na ukrzyżowane, górujące nad miastem kotwice, na bramę, gdzie białymi literami pisało: STOCZNIA GDAŃSKA im. LENINA, na mur po lewej stronie bramy, ozdobiony ogromnym, kutym w brązie wersetem: PAN DA SIŁĘ SWOJEMU LUDOWI, PAN DA SWOJEMU LUDOWI BŁOGOSŁAWIEŃSTWO POKOJU. PSALM 29/28/11. TŁUM. CZ. MIŁOSZ; na granitową tablicę ze słowami: NIECH ZSTĄPI DUCH TWÓJ I ODNOWI OBLICZE ZIEMI. TEJ ZIEMI. AMEN. JAN PAWEŁ II (niżej): ODDALI ŻYCIE ABYŚ TY MÓGŁ ŻYĆ GODNIE (niżej): CZEŚĆ ICH PAMIĘCI. Obok, ale dopiero nazajutrz, w innej części muru, można było zobaczyć nieprzewidzianą, skromną, ale wdzięcznie przyjętą przez stoczniowców tablicę, która głosiła: ...I POWIAŁ WIATR OD MORZA (niżej): W HOŁDZIE POLEGŁYM STOCZNIOWCOM ROBOTNICY OSTROWCA ŚWIĘTOKRZYSKIEGO (niżej): GRUDZIEŃ 80.

Również dopiero wiele godzin później można było rozsądzić spór między tymi, którzy twierdzili, że nie, a tymi, którzy zapewniali, że tak że na niewidocznej teraz stronie „lewego" (krzyże tworzą krąg, czego nie oddają fotografie) krzyża wykuto w brązie fragment wiersza Miłosza: KTÓRY SKRZYWDZIŁEŚ CZŁOWIEKA PROSTEGO... Faktem jest, że 20 października Społeczny Komitet Budowy Pomnika zwrócił się do laureata Nagrody Nobla z prośbą o napisanie utworu poetyckiego, który można by umieścić na monumencie. Po dwóch tygodniach nadeszła z Berkeley odpowiedź (tekst dosłowny): *„Zamiast wiersza proponuję werset jedenasty z Psalmu 29 w moim przekładzie (...). Nie planuję rychłego przyjazdu do Polski. Sercem jestem z wami"*. Ale faktem jest także, iż wiersz Miłosza zdobi jedną z płaskorzeźb. Tekst wytłoczony jest tak, jakby napisała go niewprawna, bardziej nawykła do młota niż do pióra dłoń ciężko pracującego mężczyzny. Słowa: NIE BĄDŹ BEZPIECZNY wyryto większymi literami. Pod tekstem, unosząc go niejako, stoją cztery rozpaczające kobiety.

W biurze prasowym, usytuowanym w hallu wielopiętrowego hotelu „Hevelius", o godzinie pierwszej z minutami kręciło się wielu zawiedzionych dziennikarzy. Nie załatwili wcześniej (miesiąc temu) akredytacji; nie dostaną zatem karty wstępu. Biuro dzieli się na dwa sektory: „Solidarności" i „Interpressu". Panienka z „Solidarności", zmęczona, ale uprzyjemna, rozkłada bezradnie ręce. W „Interpressie" zagadnięte przeze mnie panisko mówi z przyciskiem: — *Proszę mi nawet nie zawracać głowy!* — Atakuję go jednak: — *Chwileczkę, proszę mi tylko powiedzieć, jakie przywileje zapewnia dziennikarzowi akredytacja?* Odpowiedź brzmi: — *Można dzięki temu oglądać uroczystość z bliska, z ławek, które ustawione są pod pomnikiem dla przedstawicieli władz, duchowieństwa, rodzin poległych i prasy.* — *Dobrze* — mówię. I myślę: rodziny poległych mieszkają wraz ze mną w nieco skromniejszym, orbisowskim hotelu „Monopol"; trzydniowy pobyt, wraz z wyżywieniem oraz wycieczkami do miejsc pamięci (poza Gdańsk) zapewnia im bezpłatnie „Solidarność". Ja (poza telexem z „Odgłosów") zawdzięczam hotel redaktorowi Grzegorzowi Rybińskiemu z „Głosu Wybrzeża". A hotel, to prawdziwy rarytas. Ludzie śpią na dworcach, albo nie śpią w ogóle. Studenci Uniwersytetu Gdańskiego wystąpili do rektora z prośbą, aby przeznaczył na nocleg dla ich kolegów z innych polskich uczelni podłogę akademickiej auli w Sopocie. W licznych domach Trójmiasta zrobiło się nagle niebywale tłoczno: przyjechali bliscy i dalecy krewni, a wraz z nimi osoby zaprzyjaźnione. Kładło się wszystkich, gdzie popadło — w korytarzach, w łazienkach, na strychach. Kolejarze zajęli nieogrzane, stojące na bocznicach wagony. Wiele wycieczek spędziło noc w autokarach. O piątej nad ranem spotkałem na ulicy małego fiata, w którym spało sześciu młodych ludzi. — *Ilu dziennikarzy przyjechało do Gdańska?* — pytam jeszcze człowieka z „Interpressu". — *A po co to panu?* — odpiera pytanie; jest mi w dalszym ciągu wrogi; nawet w taki dzień niektórzy lubią zgrywać ważniaków. — *Po to* — mówię — *że też jestem, akredytowanym czy nie akredytowanym, ale dziennikarzem i akurat taka wiadomość jest mi potrzebna ze źródeł oficjalnych.* — *Szacujemy, że obecnie przebywa w Gdańsku czterystu dziennikarzy krajowych i zagranicznych oraz sześciuset reporterów sympatyzujących z ruchem.* — *Z jakim ruchem?* — Z *„Solidarnością"*.

Wracam na ulicę. Tu i ówdzie handlarze sprzedają święte obrazki z wizerunkiem papieża. Sto złotych od sztuki. Oficjalne pamiątki są tańsze — plakietka z rokiem „1970", ozdobny emblemat „Solidarności" oraz afisz z kadrem filmu „Robotnicy 80" liczone są po dwadzieścia pięć złotych. Cegiełka na budowę i rozbudowę pomników od pięćdziesięciu do stu. W kioskach nie ma zapałek, a w kawiarniach cukru. Sklepy puste. Całkowity zakaz sprzedaży alkoholu. W ciągu trzech dni nie widziałem na ulicy ani jednego pijaka. Nikt zresztą nie myślał o wódce. Prasa nieosiągalna. W „Głosie Wybrzeża" sekretarz redakcji oddaje mi komplet swoich bezcennych gazet. Nazajutrz, 17 grudnia, wyszarpuję, po jednym egzemplarzu, z poszczególnych redakcji. Najwięcej trudności miałem z tygodnikiem „Czas". Redaktor odmówił, sekretarka wyciągnęła cichaczem z szuflady rezerwowy numer.

2.

Około drugiej było już wokół pomnika ponad sto tysięcy ludzi. O trzeciej — dwieście. Potem tłumy stały się nieprzeliczalne — jedni twierdzili: siedemset tysięcy, inni: milion. Nie starczyło placu, pętli tramwajowej, ani obszernych, pobliskich terenów; wypełniły się szczelnie gardziele ulic wlotowych — Jana z Kolna, Łagiewniki, Wałowa i Doki. Na płaskich dachach jedenastopiętrowych bloków, na stromych, krytych gontem okapach wiekowych kamienic pojawiły się setki odważnych. W oknach Liceum Ogólnokształcącego, które stoi na wprost drugiej bramy, i które pamięta nie jedno już dramatyczne wydarzenie, twarze uczniów i nauczycieli przypadły w ciemnościach do szyb. Wszystkie zresztą w okolicach okna i balkony, te prywatne i te państwowe, zapełniły się ludźmi. Pobliskie, wątłe drzewa i latarnie obwieszone były po korony. Ktoś powiedział: — *Kwitną.* — Ktoś inny: *Załamią się pod ciężarem.*

O 16.40 megafon podawał rytmicznie trzy komunikaty. Pierwszy apelował do porządkowych, aby nie puszczali już nikogo poza rozlokowane na całej przestrzeni bariery; zgodnie zresztą z sugestią organizatorów uczestnicy demonstracji przybyli na miejsce spotkania bez dzieci: drugi i trzeci powtarzały na przemian: — *Aktor Daniel Olbrychski proszony jest do wejścia.* — *Proszę umożliwić przejście delegacji „Solidarności" z Warszawy* — *Daniel Olbrychski... „Solidarność" z Warszawy, Daniel Olbrychski, „Solidarność" z Warszawy...*

Punktualnie z wybiciem godziny 17, uderzono w kościelne dzwony. Zawyły także stoczniowe syreny. W pobliżu pomnika stanęły poczty sztandarowe, reprezentujące setki zakładów pracy z całej Polski. Miejsca na ławkach rozlokowanych wokół monumentu zajęli przedstawiciele władz, Episkopatu, „Solidarności" i rodzin pomordowanych. Przybyli, powitani zostali według kolejności: przewodniczący Rady Państwa, prof. Henryk Jabłoński, arcybiskup metropolita krakowski, ksiądz kardynał Franciszek Macharski oraz przewodniczący NSZZ „Solidarność", Lech Wałęsa. W czasie wyczytywania listy przybyłych przedstawicieli władz, brawa wybuchły w momencie, kiedy padło nazwisko kontradmirała Marynarki Wojennej, Ludwika Jancyszyna, dowódcy jednostki Obrony Wybrzeża.

Zapadły ciemności, zaczęło siąpić. Kilkaset tysięcy ludzi, głównie mężczyzn, zdjęło czapki z głów, aby odśpiewać Rotę. Nie jest moim zadaniem dublować radio, telewizję i gazety codzienne. Nie będę więc streszczał przebiegu uroczystości. Każdy słyszał specjalnie skomponowany na tę uroczystość utwór Krzysztofa Penderecki, „Lacrimosa". Każdy zapamiętał moment, kiedy zgasły światła i Daniel Olbrychski, rozpoczynając od przejmujących słów psalmu 11 w przekładzie Czesława Miłosza, odczytał apel poległych. Brzmiało to patetycznie. Po każdym nazwisku zamordowanego stoczniowca padały słowa:

— *Jest! wśród! nas!*

W godzinę później zgromadzony przed telewizorem tłum w hotelu „Monopol" mógł porównać wersję oficjalną i rzeczywistą. Kobieta w żałobie mówiła do innej, ubranej na czarno kobiety: — *Przed chwilą odczytali nazwisko mojego dziadka i twojego męża.*

Ale telewizja wedle starych wzorów okroiła nadaną tuż po dzienniku migawki z demonstracji. Pożałowano splendoru tym, którzy legli w bezimiennych mogiłach. Ktoś się broni! Gwoli przypomnienia, autentyczna wersja zakończenia apelu brzmiała:

— *Wzywam wszystkich poległych, których nazwiska są nieznane, lecz ich ofiara nie była nadaremna...*

— *Są wśród nas!*

— *U nas ani przez chwilę nie było paniki* — mówi pracownik Uniwersytetu Gdańskiego. — *Wiedzieliśmy, że zachowana zostanie dyscyplina i spokój. Napisy: „Wolność dla Moczulskiego" własnoręcznie wymazali stoczniowcy. Owszem, jeden został, nie starczyło czasu, aby go usunąć.*

Pomnik odsłaniają przedstawiciele rodzin poległych: Tadeusz Nastały, Jan Łopota, Lech Widerlich, Ewa Ostrowska i Janina Darczewska. Następnie Lech Wałęsa zapala znicz, który płonie u podstawy, pomiędzy trzema krzyżami i składa się z kręgu szesnastu palników, w środku których płoną palniki w kształcie kwiatu. Po przemówieniach Lecha Wałęsy i Tadeusza Fiszbacha przychodzi czas na składanie wieńców. W tej części uroczystości złożono tylko trzy wieńce: od rodzin, od Rady Państwa (ogromna utkana z goździków tarcza, biały orzeł na czerwonym tle) oraz od „Solidarności". Legły pod tablicą z mottem papieża i ze słowami: ODDALI ŻYCIE ABYŚ TY MÓGŁ ŻYĆ GODNIE. W kilka godzin później, przeglądając napisy na wstęgach, które geograficznie obejmowały cały kraj, zobaczyłem, że na honorowym miejscu, sąsiadując z tym od Rady Państwa, leży skromny wieniec od łódzkich Zakładów Przemysłu Odzieżowego „Emfor".

Uroczystość kończy msza święta na intencję Ojczyzny. Celebruje ją kardynał Franciszek Macharski. Biskup Bronisław Dąbrowski odczytuje telegram nadesłany przez Jana Pawła II: *(...) Polecam ich (poległych) miłosierdziu Ojca Przedwiecznego, dziękując Bogu za to, że tegoroczne wydarzenia na Wybrzeżu miały przebieg całkowicie inny. Proszę Go, aby moim Rodakom dał wszystkie siły potrzebne do budowania pokoju we wzajemnym poszanowaniu wspólnego dobra umiłowanej Ojczyzny"* (...) oraz list nadesłany przez prymasa Polski, kardynała Stefana Wyszyńskiego: *„(...) żywym przyznaje się ordery, czasem krzyże „Virtuti Militari", poświęcone męstwu wojennemu. My zaś pragniemy przyznać krzyż „Virtuti Vitae", by dać wyraz szacunku dla tych, co odeszli (...)"*

Zebrani śpiewają „Boże coś Polskę", „My chcemy Boga" oraz Mazurka Dąbrowskiego. Gdybym miał powiedzieć, co (poza pomnikiem) zrobiło na mnie największe wrażenie musiałbym wspomnieć czterdziestopięcioletniego milicjanta. Był to owego dnia jedyny milicjant w mundurze, jakiego widziałem (nie licząc drogowców). Przyszedł bez czapki deszcz siąpił mu na łysiejącą głowę. Stał w nieprzebranej masie ludzi. Stał, śpiewał „Boże coś Polskę" i płakał.

3.

Nie tylko w Gdyni, także w Gdańsku ludzie wypowiadają czasami straszliwe słowa, że Gdynia miała pecha. W Gdyni zwykle wszystko zaczyna się później: później zaczęły się strajki, później nastąpiła masakra, no więc: później również odsłonięto pomnik. Ale nie ma w Trójmieście człowieka, który by nie wiedział, że tu właśnie Gdynia poniosła największe ofiary. Jedziesz po ciemku kolejką, tak jak oni kiedyś jechali. Dochodzi piąta. Wysiadasz na przystanku Gdynia-Stocznia. Przechodzisz prymitywny most napowietrzny, a później, już na ulicy, mijasz drugi, betonowy most, pod którym przetaczają się dalekobieżne pociągi. Widzisz już tłum, światła. Czujesz, jak coś ściska cię za gardło.

Aktu przecięcia szarfy i odsłonięcia pomnika dokonuje matka poległego stoczniowca, Anna Piernicka. Potem dowiaduję się, kim był i jak zginął jej syn, Ludwik Piernicki. Mieszkał w wiosce Goręczyno pod Kartuzami. Jak pisze reporter gdańskiego „Czasu", Tadeusz Woźniak, codziennie rano wstawał przed godziną 4, żeby zdążyć „na warsztaty", gdyż był uczniem szkoły przyzakładowej w stoczni „Komuna Paryska". Tak też było 17 grudnia, przed dziesięcioma laty. Mimo trudności komunikacyjnych zdążył dojechać... Koledzy widzieli, jak padał. Rodzice przechowują podziurawioną, skórzaną kurtkę, w którą był wówczas ubrany.

16 grudnia 1970 r. Stanisław Kociołek, ówczesny członek Biura Politycznego KC, wicepremier, wezwał ludzi, przez mikrofony radia i Tv, do pracy.

Ludzie usłuchali.

„Kilkudziesięciotysięczny tłum podążał do pracy — do stoczni, portu, do wielu innych zakładów. Poprzez węzeł komunikacyjny Gdynia-Stocznia prowadziły ich drogi z różnych dzielnic Gdyni, z Sopotu i Gdańska. Ciżba ludzka zaległa perony oraz długi pomost nad torami. Ludzie ci o godz. 6 mieli zająć stanowiska pracy. Zatrzymali się zdezorientowani. Drogę zagradzały im czołgi, opancerzone wozy bojowe, kordony uzbrojonych żołnierzy i milicji. Z megafonu ustawionego na czołgu który tarasował ulicę Marchlewskiego, nadawano komunikat, że praca w zakładach Wybrzeża została przerwana, więc mają wracać do domu. Ten sam tekst nadawały głośniki na peronach. Słyszeli, ale nie dowierzali tym głosom. Kto to mówi? Nie ci sami, którzy wczoraj nawoływali do pracy. Może to prowokacja? — szemrano w tłumie.

Adam Gotner pamięta tamten obraz. Razem z czterema kolegami ze stoczni przeszli przez tory, przeskoczyli przez płot przy ulicy Marchlewskiego. Przecisnęli się przez tłum, żeby zobaczyć, co tam się dzieje. W odległości 20—30 metrów od mostu kolejowego, widoczny jak na dłoni stał czołg. Około 5.55 powietrzem wstrząsnął potężny wybuch. Czołg odpalił ślepy pocisk. Na co tyle hałasu, przecież ich widzimy, nie muszą się przedstawiać — roześmiali się ludzie. Nie skończyli się śmiać...

Zaaferowany wystrzałem Adam patrzył na czołg przy ulicy Polskiej. Słyszał jazgot broni maszynowej. Poczuł, jak po nim obsuwa się na ziemię człowiek, który chwilę wcześniej śmiał się jeszcze. Nie wiedział, co mu się stało. Chciał go podnieść. Wtedy zauważył, że ten człowiek nie ma połowy twarzy. Próbował go ciągnąć, uciekać z nim. Stwierdził jednak, że nie czuje własnej lewej ręki. Nie zwracając uwagi na strzelaninę, sprawdził, czy ma rękę. Była. Zaczął uciekać depcząc po leżących."

Tak pisze Tadeusz Woźniak, reporter „Czasu".

Po wczorajszym deszczu jest mróz. Świecą gwiazdy. Czekam aż się przerzedzi i rozwidni. Potem wchodzę na drewniany piedestał pod pomnikiem. Notatnik kładę na ołtarzu z pięknego jasnego drzewa: tu, niedawno, w obecności władz, sufragan diecezji chełmińskiej, biskup dr Zygfryd Kowalski, koncelebrował mszę świętą i wygłosił homilię. Teraz ja tutaj piszę z ową straszliwą i niezłomną pewnością, iż są chwile, kiedy pióro człowieka potrafi wedrzeć się głębiej, niż jakikolwiek mikrofon czy kamera.

Pomnik stoi na leżącym krzyżu z kamienia, który przypomina czarny marmur a nazywa się „sjenit". Przywieziono go z Piławy na południowym krańcu Polski. Dwóch kierowców jechało na zmianę dzień i noc bez odpoczynku, aby dostarczyć kamień na 6 grudnia. Jeśli chodzi o nierdzewną stal, z której uformowano czterometrowy symbol „1970" z upadającą siódemką, wywalcowali ją bez wynagrodzenia, podczas czterech długich dni i nocy (z sobotą i niedzielą włącznie) robotnicy z huty „Stalowa Wola".

Cześć powstała w tempie równie rekordowym, jak monument gdański: dopiero 6 listopada rozstrzygnięto konkurs, a w czterdzieści dni później stał już gotowy pomnik. Wielka jest doprawdy siła i solidarność robotnicza.

„Siódemka", wbrew doniesieniom prasowym, nie tylko symbolizuje upadającego człowieka, ale jest upadającym człowiekiem. Człowiek ten pada twarzą w kierunku stoczni, a więc obrócony jest w stosunku do cyfr tyłem. Widać ramiona, głowę. Widać biedne, robociarskie buty, odwrócone podeszwą. Jeśli obejść pomnik i popatrzeć od tyłu, widać przestrzeloną twarz.

Wracam do Gańska, a potem, o godzinie 16 jadę kolejką do stacji Gdynia-Wzgórze Nowotki, położonej dwie stacje od stoczni. Przy ulicy Czołgistów, na wprost Urzędu Miasta (byłego Prezydium Miejskiej Rady Narodowej, gdzie też swego czasu polała się krew), zbudowano podium, na którym ustawiono krzesła dla orkiestry, ołtarz, duży biały krzyż i ogromną, czarną flagę. Przybyli przedstawiciele władz z wicepremierem Mieczysławem Jagielskim, Episkopatu z kardynałem Franciszkiem Macharskim, „Solidarności" z Lechem Wałęsą oraz rodziny pomordowanych.

Punktualnie o 17 rozpoczęło się widowisko słowno-muzyczne w reżyserii Jerzego i Aliny Afanasjew, z udziałem chórów, orkiestr i aktorów Trójmiasta. Czytano wiersze Jana Kochanowskiego, które niewiele straciły na aktualności, i Czesława Miłosza. Dwóch stoczniowców ściągnęło czarną, żałobną flagę, aby zastąpić ją sztandarem państwowym. Odegrano hymn.

O 17.50 zaczęły pracować kamery telewizyjne i mikrofony lokalnej rozgłośni radiowej. Mszę celebrował biskup Bronisław Dąbrowski, a homilię wygłosił kardynał Franciszek Macharski.

Znów zabrzmiały w ciszy nazwiska poległych.

W tym miejscu, w centralnym punkcie Gdyni, ma stanąć za rok jeszcze jeden pomnik. Tak chcą stoczniowcy! Tak chce cały polski naród!

W trakcie nabożeństwa, podpisany przez przedstawicieli władz, Episkopatu i „Solidarności" akt erekcyjny, spoczywał na ołtarzu. Jakaś kobieta za moimi plecami zanosiła się szlochem. Niebo pociemniało i znowu stało w gwiazdach. Gdzieś w pobliżu przetoczył się samolot i wielu ludzi odruchowo podniosło głowy. Tak jak na początku, o piątej, wraz z dzwonami, dano salwę z niewidzialnych armat.

Ktoś powiedział z dumą: — *Walą nasi marynarze!* Uczniowie Szkoły Morskiej w czarnych mundurach, którym polecono pilnowanie porządku, zdjęli czapki i wyprężyli się na baczność. Tłum nie był tak liczny, jak w Gdańsku.

Nie wiem, jak skończyć. Pomniki, które widziałem, były piękne. Ale nigdy więcej nie powinno być takich pomników. Mam nadzieję, że ich nie będzie. Mam w ogóle bardzo dużo nadziei. Wielki polski naród zdołał oczyścić się. Rację mają ci, którzy twierdzą, że wrzód trzeba wyciąć do końca. Tylko wówczas głęboka rana może zamienić się w bliznę.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

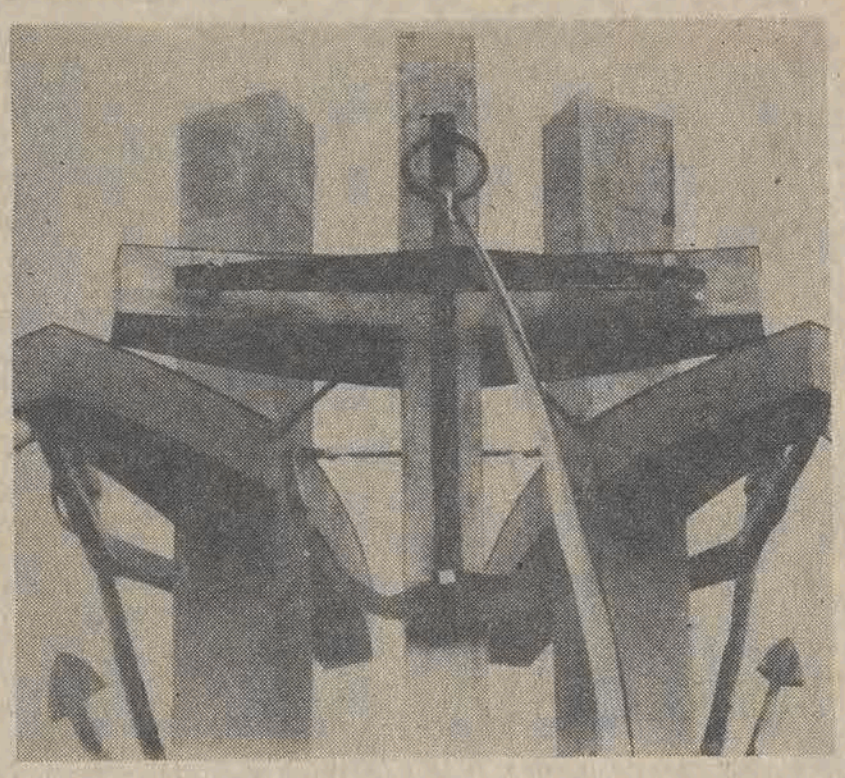

Foto: M. Kowal

reforma gospodarcza

Dalszy ciąg ze str. 1

Omawiane **propozycje zasadniczych rozwiązań reformy gospodarczej** przedłożone zostały komisji partyjno-rządowej do spraw reformy oraz szerokiej opinii publicznej poprzez opublikowanie dokumentu w formie specjalnej wkładki do **„Życia Gospodarczego"**. Tym samym spełniono podstawowy wyrunek umożliwiający dyskusję publiczną na temat projektu reformy. Można przypuszczać, że opracowanie PTE będzie osią dla przygotowanej przez komisję partyjno-rządową reformy systemu funkcjonowania gospodarki. Wynika to z faktu, że wielu uczestników prac nad propozycjami PTE bierze udział w działalności komisji ekspertów.

Prezentowany dokument zawiera syntetyczną diagnozę istniejącego systemu funkcjonowania gospodarki oraz propozycje dotyczące poszczególnych aspektów reformy gospodarczej. Aspekty te obejmują: planowanie i kierowanie centralne, przedsiębiorstwo socjalistyczne, narzędzia pośrednie (regulatory parametryczne) centralnego kierowania przedsiębiorstwami, planowanie i zarządzanie w rolnictwie, planowanie i zarządzanie gospodarką w układach terytorialnych. Wymienione fragmenty propozycji reformy odnoszą się do najistotniejszych dziedzin funkcjonowania gospodarki narodowej. Z tego względu wnikliwe rozważenie wszystkich fragmentów reformy w ramach jednego artykułu jest praktycznie niewykonalne. Dlatego też zasadniczym przedmiotem moich rozważań, będzie problem propozycji rozwiązań w zakresie planowania i kierowania centralnego. Ten aspekt reformy jest w przekonaniu polskich ekonomistów problemem „numer jeden" rozwiązań systemowych.

* * *

Autorzy projektu PTE przyjęli założenie, że zmiany w naszej gospodarce muszą być oparte na zmobilizowaniu trzech podstawowych sił dynamicznych systemu funkcjonowania. Siły te obejmują: primo, **centralne planowanie**, jako najwyższy i najbardziej ogólny ośrodek decyzji, koordynacji i kontroli; secundo, **usamodzielnione przedsiębiorstwo socjalistyczne**, jako ośrodek inicjatywy, postępu i przystosowania się do zmiennych warunków produkcyjnych i rynkowych; tertio, **człowieka pracującego**, którego motywacje ekonomiczne i pozaekonomiczne, pracowitość, inicjatywa osobista decydują w ostatniej instancji o sukcesie określonych przedsięwzięć ekonomicznych inspirowanych zarówno przez władze centralne, jak i kierownictwo przedsiębiorstw.

W taki sposób określone podstawowe siły gospodarki wydają się powszechnie znane i banalne. Ale jest to tylko iluzja. W istocie rzeczy zadania w tej dziedzinie są nowe i nader skomplikowane. Aby je prawidłowo rozwiązać niezbędna jest wiedza i pewna doza śmiałości w podejmowaniu działań mających na celu wyprowadzenie gospodarki z impasu. Szczególnie trudnym i kontrowersyjnym problemem jest modyfikacja zasad i sposobu funkcjonowania centrum planistycznego.

Punktem wyjścia dla sformułowania propozycji dotyczących **zreformowania instytucji centralnego planowania** jest ocena diagnostyczna mechanizmów istniejących w tej materii. Twórcy omawianego projektu postanowili przedstawić tę ocenę. Jest to niewątpliwe novum w porównaniu z poprzednią reformą gospodarczą realizowaną od 1973 r. pod nazwą systemu jednostek inicjujących. Jak wiadomo projekt ówczesnej reformy nie zawierał ani krytycznej oceny zasad funkcjonowania centrum planistycznego, ani propozycji zmian. Usankcjonowany został tym samym tradycyjny, czyli centralistyczno-biurokratyczny system planowania. Pominięcie tej newralgicznej dla reformy sprawy wynikało z istnienia tematów tabu, do których należał system funkcjonowania najwyższych organów władzy.

Projekt zasadniczych rozwiązań reformy gospodarczej przedstawia w części diagnostycznej podstawowe wady planowania centralnego. Wyrażają się one szczególnie w:

1. Dominacji krótkookresowych — rocznych planów gospodarczych, co spowodowało niedorozwój głównej funkcji planowania centralnego, jaką jest kształtowanie koncepcji i strategii rozwoju gospodarczego kraju.

2. Dyrektywnym i szczegółowym charakterze planowania centralnego, które przyczyniło się do przekształcenia przedsiębiorstw w urzędy wykonujące ślepo wielką liczbę dyrektyw i nakazów płynących z tzw. wyższych szczebli. Plan starał się wnikać w szczegóły życia gospodarczego tak dalece, że przywodzi to na myśl przytoczony w latach 50-tych przez O. Langego słynny dowcip, który w rzeczywistości nie był dowcipem, lecz prawdą, że plan gospodarczy przewiduje również produkcję kiszonych ogórków, a Państwowa Komisja Planowania ustala ilość zajęcy, które zostaną upolowane w ciągu roku przez myśliwych.

3. Zaniedbaniu i bagatelizowaniu roli rachunku ekonomicznego zwłaszcza w sferze decyzji inwestycyjnych, co wyzwoliło woluntaryzm u decydentów i stało się przyczyną olbrzymich strat gospodarczych.

4. Słabości władz centralnych w konfrontacji z presją grup nacisku reprezentujących partykularne interesy ministerstw branżowych i regionów kraju. Wiąże się z tym ceremonialny charakter organów przedstawicielskich, w tym zwłaszcza Sejmu, w systemie planowania.

Tak sformułowane przejawy patologii systemu planowania centralnego dowodzą, że system ów był doskonałym podłożem dla rozwoju narośli centralistyczno-biurokratycznych, które sparaliżowały postęp naszej gospodarki. Władze centralne nie potrafiły uświadomić sobie prostej prawdy, że gospodarka centralnie planowana, bez pewnej dozy decentralizacji decyzji, byłaby możliwa i skuteczna jedynie w przypadku, gdyby proces produkcji był całkowicie zmechanizowany, a gospodarka jednym organizmem, jednym wielkim przedsiębiorstwem. Byłoby to możliwe gdyby, jak pisał niegdyś Sismondi, wszystkie towary wytwarzała jedna fabryka, a korbą tej fabryki kręcił król angielski.

Metody wysoce scentralizowanego, administracyjnego planowania nie są cechą charakterystyczną socjalizmu, ale raczej epizodem w jego budowie: są po prostu metodami gospodarki wojennej koniecznymi w przejściowym okresie rewolucyjnym. Utożsamianie owych metod z istotą socjalizmu jest swoistym paradoksem i przejawem ignorancji w pojmowaniu założeń tego ustroju.

Ocena części diagnostycznej projektu reformy skłania do kilku krytycznych refleksji. Podstawową słabością tej diagnozy jest enigmatyczne przedstawienie instytucji centrum planistycznego. Wielu czytelnikom to określenie może kojarzyć się z terminologią science fiction. Autorzy opracowania nie zadali sobie trudu prześwietlenia struktury władz centralnych, która notabene jest bardzo złożona i zagmatwana. Centrum planistyczne jest personifikacją władzy ustawodawczej (Sejmu), władzy politycznej (Biuro Polityczne, Komitet Centralny PZPR) oraz władzy wykonawczej (rząd PRL). W praktyce naszego życia politycznego centrum planistyczne jawiło się opinii publicznej jako „kierownictwo polityczno-gospodarcze", a nawet jako „ścisłe kierownictwo". Wytworzył się na tym gruncie osobliwy model sprawowania władzy oparty na zasadzie patriarchalnego centralizmu, który pod pozorem demokracji aprobującej i humanistycznej wyrozumiałości przywódców politycznych odbierał wszelką możliwość współdecydowania, a nawet wpływu na decyzje. Wystąpiło więc klasyczne zjawisko alienacji władzy.

* * *

W omawianym opracowaniu wyrażone jest przekonanie o **niezbędności przebudowy planowania centralnego**, aby uczynić je bardziej racjonalnym i skutecznym. Sedno problemu tkwi w tym, aby planowanie centralne dobrze wykonywało swoje podstawowe funkcje, do których należą:

— przewidywanie przyszłych warunków gospodarowania w skali krajowej i światowej, a także przyszłych tendencji i aspiracji społecznych,

— kształtowanie racjonalnej strategii rozwoju kraju i zagwarantowanie jej realizacji,

— obrona interesu ogólnospołecznego w gospodarce narodowej.

Funkcje te stanowią domenę centrum planistycznego, gdyż tylko sprawne działanie tego podmiotu może zapewnić prawidłowy wybór koncepcji i strategii rozwoju gospodarczego. Wymaga to jednak, aby centrum wyzbyło się niepotrzebnego balastu w postaci decyzji taktyczno-operacyjnych, które z powodzeniem można przekazać przedsiębiorstwom i samorządom pracowniczym. W ten sposób może nastąpić wzmocnienie skuteczności i racjonalności planowania centralnego jako mózgu gospodarki.

Zgodnie z tym konieczność modyfikacji planowania centralnego dotyczy całego systemu planów. Autorzy projektu reformy sugerują przyjęcie następujących rozwiązań kierunkowych:

1. Podniesienie **roli planowania perspektywicznego**, którego podstawowym dokumentem proponuje się uznać 10-letni program społeczno-gospodarczego rozwoju kraju. Głównymi problemami planowania perspektywicznego mają być przekształcenia strukturalne — struktury gospodarczej i przestrzennej. Najistotniejszymi problemami są tu: gospodarka energią i surowcami, rozwój infrastruktury technicznej, przestrzenny rozwój kraju, kierunki specjalizacji gospodarki i wzorce życia społeczeństwa. Plan perspektywiczny jest punktem wyjścia dla ważnych decyzji rozwojowych ustalanych w planach 5-letnich.

2. Za podstawowy dokument decyzyjny uznaje się **plan 5-letni**. Proponuje się następujące określenie funkcji planowania 5-letniego:

— zapewnienie równowagi gospodarczej i harmonii procesów rozwojowych,

— określenie strukturalnych zmian gospodarki,

— ustalanie zadań w dziedzinie podnoszenia warunków bytowych ludności,

— stwarzanie warunków dla stałego postępu w efektywności gospodarowania.

Decyzje planu dotyczące stopnia realizacji poszczególnych celów społecznych oraz gromadzenia i rozdziału niektórych środków dysponowanych centralnie powinien podejmować Sejm.

3. Proponuje się **zmianę funkcji i charakteru narodowego planu gospodarczego rocznego.** Plan ów nie powinien mieć charakteru dyrektywnego w stosunkach między Sejmem, a rządem; jest nim natomiast w dalszym ciągu budżet państwa. Ustalenia planu rocznego muszą wypływać z planu 5-letniego i nie mogą naruszać systemowo określonej samodzielności przedsiębiorstw.

4. W systemie planowania centralnego zwiększyć należy **rolę planów finansowych,** które powinny stać się instrumentem równoważenia gospodarki oraz podstawą szeregu zasadniczych propozycji narodowego planu społeczno-gospodarczego.

5. Plany powinny być opracowywane w **sposób wariantowy i poddawane szerokiej dyskusji.**

Zapewnienie skuteczności strategicznej funkcji planu oraz samodzielności przedsiębiorstw i województw wymaga sprecyzowania zakresu decyzji centrum planistycznego. W związku z tym proponuje się kilka najważniejszych rozwiązań, które dotyczą decyzji w dziedzinie inwestycji i postępu technicznego, handlu zagranicznego, obrotu materiałowego i towarowego, jakości produkcji, operowania ekonomiczno-finansowymi, narzędziami kierowania działalnością przedsiębiorstw oraz struktur organizacyjnych gospodarki.

W tym fragmencie propozycji najbardziej ważkie są dwie kwestie: zakres kompetencji centrum planistycznego w dziedzinie inwestycji i postępu technicznego oraz zakres jego oddziaływania na handel zagraniczny. Propozycje zmierzają do pozostawienia w gestii centrum decyzji inwestycyjnych o charakterze strategicznym, tzn. dotyczących rozwoju infrastruktury technicznej, wielkich obiektów przemysłowych oraz zaspokojenia ważnych potrzeb społecznych. Centrum planistyczne powinno ustalać również nieprzekraczalną wielkość centralnych (budżetowych) nakładów inwestycyjnych i badawczo-rozwojowych oraz nieprzekraczalny wzrost kredytów inwestycyjnych udzielanych przedsiębiorstwom przez system bankowy. W odniesieniu do inwestycji finansowych ze środków własnych przedsiębiorstw nie stosuje się żadnego limitowania centralnego. W planach centralnych nakłady te powinny być określane i bilansowane szacunkowo.

W **dziedzinie handlu zagranicznego** i współpracy ekonomicznej z zagranicą podtrzymuje się dotychczasową zasadę dominującego wpływu władz centralnych na określanie kierunków rozwoju specjalizacji międzynarodowej kraju i stopnia jego udziału w międzynarodowym podziale pracy, zakresu i stopnia wykorzystywania i udzielania kredytów zagranicznych oraz kształtowanie w drodze polityki traktatowej najlepszych warunków dostępu do zagranicznych rynków zbytu, surowców i produktów rolnych, technologii i licencji. Godna uwagi jest propozycja elastycznego podejścia do konstytucyjnej zasady państwowego monopolu handlu zagranicznego. Otóż zasada ta nie jest tożsama z monopolem wyspecjalizowanych przedsiębiorstw handlu zagranicznego. Uprawnienia do rozwijania handlu zagranicznego mogą być nadawane przedsiębiorstwom produkcyjnym i handlowym, transportowym i usługowym. Generalnym kierunkiem zmian powinno być przezwyciężanie jednostronnych monopoli przedsiębiorstw handlu zagranicznego.

Bez cienia przesady można stwierdzić, iż najbardziej frapującym i dyskusyjnym fragmentem omawianego raportu są postulaty dotyczące **przebudowy aparatu centralnego** oraz rozwiązań instytucjonalnych na szczycie władzy. Wiadomo, że skala i struktura organizacyjna centrum planistycznego zależą od jego funkcji, metod i stylu działania. System odgórnego i nakazowego zarządzania gospodarką spowodował rozbudowę tego aparatu do gigantycznych rozmiarów. Powstał twór określany częstokroć złowrogą nazwą „hydry biurokratycznej". Co zatem należy uczynić, aby pozbyć się tego zwyrodnienia? Autorzy raportu proponują zmiany strukturalne oraz redukcję pewnych ogniw aparatu centralnego. Na szczególne zainteresowanie zasługują następujące propozycje rozwiązań:

1. **Przekształcenie Komisji Planowania** przy Radzie Ministrów w sztab rządu w ścisłym tego słowa znaczeniu i wyeliminowania z jej działania funkcji zarządzania taktyczno-operacyjnego. Komisja powinna być odpowiedzialna za opracowywanie planów gospodarczych oraz przygotowywanie decyzji rządu w zakresie tych spraw dotyczących rozmieszczenia zasobów w gospodarce narodowej, które pozostają w gestii centralnej. Zmiana funkcji wymaga ograniczenia liczebności ogółu zatrudnionych w Komisji Planowania i podległych jej jednostek o około 1/4—1/3. Stanie się to możliwe głównie dzięki zlikwidowaniu systemu drobiazgowego „pseudoplanowania" i komenderowania gospodarką.

2. Jednocześnie postuluje się **wzmocnienie ogniw aparatu centralnego** zajmujących się kształtowaniem instrumentów ekonomicznych — przede wszystkim Ministerstwa Finansów, Państwowej Komisji Cen oraz Ministerstwa Pracy, Płac i Spraw Socjalnych. Ministerstwa te powinny być odpowiedzialne za całokształt polityki dochodowej i działalności socjalnej oraz za kształtowanie rynku pracy.

3. W związku z dotkliwym deficytem towarów na rynku konsumpcyjnym Ministerstwo Handlu Wewnętrznego i Usług stosować powinno skuteczną **reglamentację centralną rynku.** Ministerstwo ustalać powinno listę grup towarowych, objętych obowiązkową centralizacją zakupu oraz kierować do central handlowych wytyczne preferencji zaopatrzeniowych, instrukcje dotyczące wyrobów standardowych, a w szczególnie uzasadnionych przypadkach — terytorialne rozdzielniki.

4. **Zredukować należy w sposób radykalny aparat ministerstw branżowych** przez zmniejszenie ich ilości i zmianę funkcji. Postuluje się, że w dziedzinie przemysłu działać powinno jedno bądź dwa ministerstwa. Głównym zadaniem ministerstwa przemysłu winna być polityka w zakresie przemian strukturalnych, specjalizacji eksportu i sterowania postępem naukowo-technicznym.

W celu zagwarantowania możliwie maksymalnej **racjonalności decyzji centralnych** i pełnego poszanowania interesów ogólnospołecznych w procesie planowania niezbędne są określone rozwiązania instytucjonalne dotyczące relacji między Sejmem, partią i rządem. Akceptując w pełni tezę o konieczności demokratyzacji planowania gospodarczego twórcy raportu PTE proponują rozwiązania instytucjonalne, których istotę można ująć następująco:

1. Niezbędne jest dokładne i klarowne określenie **podziału kompetencji** w dziedzinie decyzji ekonomicznych między organami partii i rządu. W tym miejscu autorzy raportu dochodzą do jądra zagadnienia. Ich pogląd sprowadza się do sformułowania zasady, iż władze partii ustalają strategiczne cele i główne priorytety rozwoju społeczno-ekonomicznego kraju oraz kierunki reform społeczno-gospodarczych. Ustalenia te wymagają aprobaty Sejmu i wyrażenia w jego uchwałach. Natomiast do obowiązków rządu należy podejmowanie decyzji centralnych służących realizacji owych uchwał.

2. Podstawową gwarancją prawidłowości decyzji centralnych jest **wzmocnienie roli Sejmu** w sprawach gospodarczych i rzeczywista kontrola Sejmu nad rządem. Zakres kompetencji decyzyjnych Sejmu powinien obejmować sprawy o kapitalnym znaczeniu dla rozwoju społeczno-gospodarczego kraju, a przede wszystkim dotyczące stopnia realizacji poszczególnych celów społecznych, podziału środków na różne cele społeczne oraz rozdysponowania dotacji.

3. W celu zdobycia **niezbędnych informacji** przez organy kontroli demokratycznej oraz wzmocnienia poczucia odpowiedzialności urzędników wysokiego szczebla przed społeczeństwem pożądane jest wprowadzenie praktyki „przesłuchań" członków rządu, bądź innych prominentów aparatu centralnego przez Sejm i jego komisje oraz przez ciała wyłonione w partii. Za konieczne uznaje się także konsultowanie i uzgadnianie ze związkami zawodowymi decyzji centralnych w kwestii szeroko pojmowanych warunków pracy i płacy, przed ich przedłożeniem do uchwalenia przez Sejm.

4. **Powołać należy Radę Gospodarki Narodowej,** składającą się z naukowców i doświadczonych działaczy gospodarczych. Naczelnym zadaniem rady byłoby przedkładanie Sejmowi, bądź organom partyjnym oceny przygotowywanych przez rząd projektów decyzji, należących do kompetencji organów przedstawicielskich.

Przedstawione wyżej propozycje w zakresie przebudowy aparatu centralnego oraz zmian instytucjonalnych rozbudzają pewne nadzieje na rzeczywistą reformę, ale jednocześnie skłaniają do uwag sceptycznych. Gdyby obfitość postulowanych rozwiązań uznać za kryterium oceny ich wartości, wypadałoby korzystnie ocenić omawiany dokument. Jednakże w tym przypadku mnogość propozycji nie zawsze idzie w parze z ich wartością merytoryczną, a wielu propozycjom brak jest waloru konkretności.

Wysoce pozytywnie należy ocenić przyjęte przez autorów stanowisko, iż **kluczem do reformy gospodarczej jest zmiana struktury władz centralnych,** których powołaniem jest utrzymywanie w ruchu gospodarki narodowej, kontrolowanie działania rządu i korygowanie możliwych odchyleń od wyznaczonego mu kursu. Nie można, tak jak w dotychczasowych nieudanych próbach reformowania gospodarki, zmieniać systemu funkcjonowania zaczynając od przedsiębiorstwa. Niewątpliwym przeto postępem jest uznanie za punkt wyjścia reformy gospodarczej zmian w naczelnych instytucjach państwa. Logiczną konsekwencją tego podejścia są propozycje zmierzające do nadania planowaniu centralnemu charakteru procesu społecznego przez wzmocnienie roli Sejmu, jako najwyższego prawodawcy i wyraziciela opinii i woli narodu.

Pełnej aprobaty wymagają również proponowane rozwiązania w zakresie redukcji i zmiany funkcji ogniw aparatu centralnego. Szczególnie odważna jest propozycja dotycząca ograniczenia liczby ministerstw przemysłowych do jednego, bądź dwóch. Szkoda tylko, że nie określono w omawianym raporcie obszarów działania tych ministerstw. Z dotychczasowych rezultatów pracy zespołu do spraw struktur organizacyjnych gospodarki, jednego z 12 zespołów Komisji Ekspertów wynika, że rozważane są **trzy warianty ograniczenia liczby ministerstw.** Warianty te zawierają sugestie zredukowania ministerstw do trzech (Górnictwa i Przemysł Ciężki, Przemysł Lekki i Rynkowy, Przemysł Maszynowy), do dwóch (Przemysł Zaopatrzeniowy oraz Przemysł Rynkowy) lub jednego (Przemysł).

Jakie są podstawowe słabości rozważanych propozycji, które mogą być źródłem pewnych obaw, co do losów reformy? Źródłem największego sceptycyzmu jest, jak się wydaje nie w pełni przekonywające i dość zachowawcze potraktowanie problemu sprzęgnięcia funkcjonalnego, a zwłaszcza personalnego aparatu partyjnego z aparatem rządowym. Lansowanie hasła „partia kieruje, a rząd rządzi" nie ma głębszego sensu, jeśli nie przyjmie się zasady, aby uczestnictwa w rządzie nie łączyć z pełnieniem funkcji w kierowniczych organach partii. Zasada ta pomogłaby obalić system wzajemnych zależności i asekuracji przejawiający się w ciągłym tzw. uzgadnianiu.

Podobne wątpliwości budzi sprawa usytuowania banku centralnego (Narodowego Banku Polskiego) w strukturze aparatu władzy. Otóż, projekt PTE nie postuluje potrzeby uniezależnienia NBP od rządu. Prezes NBP jest w naszym kraju zarazem wiceministrem finansów, a więc podlega rządowi i na jego polecenie zwiększenia ilości pieniędzy w obiegu zmuszony jest podjąć dodatkową emisję banknotów. Ze wszech miar prawidłowym rozwiązaniem byłoby podporządkowanie banku centralnego Sejmowi i uchwalonym przezeń aktom prawnym. Tego rodzaju rozwiązanie zlikwidowałoby samowolę rządu w zwiększaniu ilości pieniędzy w obiegu i zapobiegałoby w pewnym stopniu narastaniu silnych tendencji inflacyjnych.

W formie generalnej konkluzji można stwierdzić, że przeprowadzenie głębokiej i rzeczywistej reformy gospodarczej uzależnione jest od głębokości zmian w systemie sprawowania władzy centralnej. Modyfikacja zasad funkcji i stylu działania centralnych organów władzy polegająca na demokratyzacji systemu planowania gospodarczego, jest niezbędną przesłanką powodzenia reformy i tym samym nadzieją na odwrócenie tendencji do spadku efektywności i pogorszenia nierównowagi ekonomicznej naszej gospodarki.

WITOLD KASPERKIEWICZ

RYSZARD BINKOWSKI

KOMU ŚWINIĘ?

Zaczynamy wpadać z jednej krańcowości w drugą. Na wieść o rzezi małych prosiąt ludzie zareagowali bardzo spontanicznie o czym już pisałem. Wykupiono setki prosiąt do dalszego chowu i ten odruch społeczeństwa należy ocenić wysoko, z pełną aprobatą. Ale zaraz potem ujawniły się sytuacje niezwykłe, niekiedy komiczne, a czasem budzące niepokój. Śmiech może wzbudzać pani prowadząca prosiaczka na smyczy po trawniku przed blokiem, widok prosiaka baraszkującego w wannie, albo bawionego przez dzieci w pokoju, z kokardką zawiązaną u szyi. Wesołość się kończy, gdy ludzie pytają przez telefon, jak należy sporządzić nadzienie prosięcia. Ano cóż, wicepremier Mach powiedział w Sejmie, że powinniśmy podtrzymywać staropolską tradycję i obżerać się prosiętami pieczonymi z kaszą gryczaną.

Nabywcy prosiąt zaczynają pytać, jak należy karmić kupione zwierzęta. To już zmusza do głębszego zastanowienia, czy przypadkiem względy humanitarne, jakimi kierowali się nabywcy, nie pogorszą losu biednych prosiątek. A już prawdziwy niepokój wzbudzają sygnały z Bełchatowa, gdzie nabywcy prosiąt zaczynają stosować niebezpieczną dzienną dawkę żywieniową: dwa bochenki chleba i trzy litry mleka. Rzecz w tym, że do odchowu prosiąt równie dobrze nadają się płatki owsiane, kasza i mąka.

No tak, ale kiedy w województwach ościennych — płockim, skierniewickim, piotrkowskim i sieradzkim — dokonuje się znacznego uboju macior, w przyszłym roku może nastąpić poważny spadek pogłowia. Trzeba więc robić wszystko, aby skutecznie przeciwdziałać niekorzystnym zjawiskom występującym w zagospodarowaniu nadwyżek prosiąt. Nie wystarczy jednak polegać wyłącznie na spontaniczności i odruchach litości. Należy zainteresować tuczem trzody chlewnej społeczeństwo w woj. miejskim łódzkim, ale jednocześnie pomóc mu w tym i wiele spraw uregulować. I dobrze się stało, że zagadnieniem szybko zajęli się: wiceprezydent Lech Krowiranda, dyr. Wydziału Rolnictwa, Mateusz Zawadzki i dyr. WOPR w Bratoszewicach, inż Jerzy Czacki.

Sprawa nabiera tym głębszego znaczenia, że niektóre dane tegorocznego czerwcowego spisu rolnego są wprost alarmujące. Mamy w woj. miejskim ponad 12 tys. małych gospodarstw, poniżej 0,5 ha, w których hodowano zaledwie 1500 sztuk trzody. Ale w 12 tys. większych gospodarstw, powyżej 0,5 ha, w ogóle nie trzyma się świń. W dobrych latach (1971—1973), gdy pasza znajdowała się na wolnym rynku, w samej Łodzi hodowano 12 tys. sztuk trzody chlewnej. Dzisiaj tylko 6 tys. sztuk. Do takiej sytuacji doprowadziła przede wszystkim reglamentacja pasz, ale także fakt, że przed laty Sanepid wypędził drobnych hodowców z peryferii miasta, z małych miasteczek i osiedli.

Dzisiaj odpowiedni resort w Urzędzie Miasta doszedł do wniosku, że na Bałutach, Widzewie Polesiu i Górnej znajduje się wiele budynków, w których teoretycznie istnieją warunki do tuczu trzody chlewnej. Chodzi tutaj o właścicieli domków jednorodzinnych, chłopo-robotników, rolników łódzkich oraz ludność posiadającą nieruchomości i działki nie zabudowane. Ja dodałbym od siebie, że można by coś hodować także na działkach pracowniczych, jeżeli nie świnie, to przynajmniej króliki, ale niestety, istnieją przeszkody trudne do obalenia. Wiem, że w NRD pracownik może otrzymać działkę pod warunkiem, że będzie hodował drób lub króliki. U nas jest wprost odwrotnie — nie wolno nic hodować. Wszystko się robi na pokaz, bez przerwy chodzą różne komisje i jak zobaczą jeden chwaścik, krzywą ścieżkę lub grządkę, źle posadzone drzewko, odbierają pracownikowi działkę. Myślę, że w obecnej sytuacji, gdy trzeba uruchomić wszelkie rezerwy żywnościowe, nieżyciowe przepisy winny ulec natychmiastowemu anulowaniu.

Aby wyjść naprzeciw zainteresowanym hodowlą trzody chlewnej, zobowiązuje się gminne spółdzielnie „SCh" do sprzedaży niewielkich ilości materiałów budowlanych na budowę chlewików. Trzeba bowiem pamiętać, że świnie wymagają pomieszczeń suchych i ciepłych, z optymalną temperaturą 16—18 st., przy czym kojec dla jednego tucznika powinien być nie mniejszy, niż 1 m × 1,3 m. Gminne spółdzielnie mogą udostępnić tarcicę, bale, krawędziaki w cenie od 1500 do 2800 zł za m sześc. oraz cement w cenie 900 zł za tonę. Można też za zgodą nadleśnictwa w Grotnikach wykorzystywać tzw. wiatrołomy.

Obecnie wszystko bardzo szybko się zmienia. Miesiąc temu pisałem, że na ulicach Łodzi nie mają prawa pokazywać się furmanki chłopskie. Dzisiaj już mogą. Nie będzie się też stwarzać trudności i stosować rygorów wobec hodowców w sprawie warunków sanitarnych. Sanepid zwalnia ich z obowiązków i przepisów uzgadniania lokalizacji obiektów hodowlanych, w których hoduje się do trzech tuczników. Z tym jednak, że odległość budynku inwentarskiego od otworów budynku mieszkalnego sąsiadów wynosi 10 m, a od budynku mieszkalnego własnego — 6 m.

Chętni mogą zaopatrywać się w prosięta na targowiskach i jarmarkach, w działach skupu żywca GS oraz w zakładach mięsnych w Łodzi lub Pabianicach.

Załóżmy, że mamy już chlewiki i prosięta lub warchlaki. I co dalej? Dla utrzymania odpowiednich warunków wychowu obowiązkowo należy trzymać zwierzęta na ściółce, np. odchowanie tucznika o wadze 100 kg wymaga 2 q słomy. Wydaje mi się, że w Łodzi mogą wyniknąć z tym kłopoty. Trudność polega na tym, że sytuacja zmuszająca nas do chowu świń w mieście i w małych gospodarstwach na wsi powstała nagle, chociaż można ją było przewidzieć, i nikt nie został na to przygotowany. Myślę jednak, że przy dobrej organizacji i dobrej woli wszystkich zainteresowanych na ściółkę można by z powodzeniem wykorzystać materiały zastępcze; jeśli nie torf, to na pewno trociny lub suche liście, które często beztrosko palono w parkach. Ale ze ściółki powstanie obornik. Gdzie go wyrzucać, gdzie wywozić? Myślę, że Urząd Miasta i Sanepid nie muszą się o to specjalnie martwić. Przed wielu, wielu laty podłódzcy rolnicy wywozili z miasta beczki gnojowicy. Jeżeli będą mogli wjeżdżać do miasta, jeśli będą znać adresy drobnych hodowców i obornik udostępni im się bezpłatnie, a ten jest dzisiaj w cenie, to oni sami wyrzucą go z chlewików, załadują na wozy i wywiozą. Myślę, że równie zainteresowani byliby tym właściciele działek pracowniczych.

Świnie muszą mieć stały dostęp do świeżej wody. Ponadto w ich żywieniu, oprócz ziemniaków, pewien udział muszą mieć śruty zbożowe, mleko chude, mieszanki przemysłowe (T1 i T2) oraz koncentrat białkowy „Provit", ponieważ pasze roślinne są paszami energetycznymi, ale zaznaczą się w nich niedobór białka. „Menu" może być różne, i tak dla przykładu prosię o wadze 25 kg musi otrzymać dziennie 3,04 kg ziemniaków, 0,29 kg śruty jęczmiennej i 0,31 kg „Provitu". Natomiast 100 kg tucznik zjada dziennie np. 5 kg odpadków kuchennych, 1,8 kg śrut zbożowych i 0,3 kg „Provitu".

Foto: R. Łucyszyn

Do przygotowania karmy potrzebny jest węgiel. Jeżeli ktoś zakontraktuje 1 tucznika, a drugiego chowa dla siebie, na ubój gospodarczy, przysługuje mu prawo do zakupu 200 kg paszy treściwej i 350 kg węgla. To jednak nie wystarczy na wykarmienie tucznika. A co mają zrobić ci, którzy hodują tylko jedną świnię? Otóż w żywieniu trzody chlewnej mogą być wykorzystane wszelkie pasze odpadowe, np serwatka, maślanka, chwasty, susz z traw, zielonki, czerstwy chleb, zlewki z kuchni, obierzyny, odpady warzyw i owoców. Wartość 1 kg odpadów kuchennych równa się około 0,2 kg śrut zbóż, a 1 kg pieczywa czerstwego — 0,8 kg śrut zbóż. Jednakże przed skarmianiem zlewki należy zagotować, obierzyny ziemniaczane i ziemniaki uparować, a śruty zaparzyć. Ważne, aby odpadki nie były skiśnięte lub zapleśniałe, bo świnia, wbrew utartym mniemaniom, jest zwierzęciem delikatnym i wrażliwym.

W tak dużym mieście jak Łódź zbiera się rocznie około 70 ton odpadków, głównie chleba. Można by zebrać przynajmniej jeszcze raz tyle, ale trzeba usprawnić zbieranie produktów odpadowych, przede wszystkim dotrzeć z tym do dużych, oddalonych od centrum nowych osiedli. Organizatorami winny by: Zjednoczenie Gospodarki Komunalnej oraz Wojewódzka Spółdzielnia Mieszkaniowa. Jeżeli te instytucje dostarczą odpowiednią ilość pojemników tam, gdzie ich dotąd nie ma, jeśli sporządzi się listę gospodarzy domów, którzy będą prowadzić zbiórkę dla wyznaczonej grupy rolników i drobnych hodowców w mieście, jeśli doprowadzi się do tego, że gospodarze domów uzgodnią cenę odpadków z odbiorcami na warunkach, które sprawią, że dozorcy będą mocno zainteresowani zbiórką odpadów, to na pewno uda się zgromadzić znaczne ilości pasz, z których będzie można wyprodukować dziesiątki ton mięsa.

Dlaczego należy przywiązywać taką wagę do zbiórki odpadków? Ano, chociażby z tej przyczyny, iżby pozbawieni pasz treściwych drobni hodowcy nie wykupywali masowo chleba, mleka, kasz i mąki, o czym wspomniałem na wstępie. Wydaje mi się, że przydałby się jakiś beczkowóz, który rozwoziłby hodowcom serwatkę i maślankę, bo jakże często jeszcze odpadki mleczarskie spływają do ścieków. Ważna jest także sprawa chleba, którego nie potrafimy szanować. Widziałem, jak do tuczarni SKR wożono po dwie przyczepy wyładowane całymi bochenkami chleba, przy czym na nierównościach drogi bochenki te spadały nieraz do rowu. Kto wie, czy nie słusznie rozważa się problem podniesienia ceny chleba? Uważam, że mimo zbiórki odpadków ludzie mogą wykupywać chleb, kasze i mąkę na potrzeby hodowli. Dlatego też należałoby zarządzić bezkartkową reglamentację sprzedaży tych produktów.

Kiedy nadejdzie lato i zrobi się gorąco, ten i ów z sąsiadów hodowców trzody poczuje zapewne trochę fetorku. Nie myślę, żeby z tego powodu trzeba było od razu stawać przed sądem. Ostatecznie u sąsiada produkuje się mięso i jak dojdzie do uboju gospodarczego, a z zezwoleniem nie powinno być kłopotów, można będzie kupić parę kilo rąbanki. Zresztą Wojewódzki Zakład Weterynarii i Sanepid nakładają na hodowców obowiązek dezynfekcji oraz badania mięsa ubitych tuczników. Pomoc w leczeniu i badaniu zwierząt zapewniają wszystkie lecznice weterynaryjne. Chodzi m.in. o to, aby w paszy nie przedawkować soli, bo świnie tego nie znoszą, oraz zapobiec zagrożeniu zdrowia i życia ludzkiego chorobą zwaną włosienicą, która w najgroźniejszych przypadkach kończy się trwałym kalectwem lub nawet śmiercią.

Pozostaje pytanie, czemu tyle miejsca poświęcam tej sprawie na łamach tygodnika społeczno-kulturalnego? Otóż, pewne sygnały świadczą, że wielu mieszkańców Łodzi, którzy dotąd nie zajmowali się jeszcze tuczem świń, chciałoby się teraz do tego zabrać. Dobrze by więc było, aby pewne wskazówki i informacje dotarły do nich także za pośrednictwem „Odgłosów".

Ponadto istnieją jeszcze dwie istotne przesłanki przemawiające za wprowadzeniem tuczu świń w małych gospodarstwach i przy domkach jednorodzinnych. Przed laty dałem się raz nabrać na tzw. miasteczka świńskie w woj. sieradzkim. Pokazano mi piękne, wielkie budowle, ale starannie ukryto efekty produkcyjne. Rychło wyszło na jaw, chociaż propaganda sukcesu robiła co mogła, żeby to zatuszować, że tucz wielkoprzemysłowy w gigantach przynosi znaczne straty. Natomiast w tanich, małych, ciepłych chlewikach, pod troskliwą opieką gospodarzy, świnie chowają się zdrowiej, nie ma upadków, a ponadto mniej jedzą, przybierając jednocześnie sporo na wadze.

I druga sprawa. Rok temu starałem się zasygnalizować na łamach „Odgłosów", że ludzie z tzw. prowincji wykupują mięso w miejskich sklepach m.in. z tego powodu, że prowincja jest zaopatrywana w stopniu kilkakrotnie niższym niż wielkie miasta. System kartkowy (o ile nie upadnie) zrówna wszystkie regiony pod tym względem i dostawy mięsa do Łodzi zostaną znacznie zmniejszone. W sytuacji więc, gdy państwo nie jest w stanie zapewnić pełnych potrzeb, mieszkańcy dużych aglomeracji sami muszą zadbać o wyrównanie braków w zaopatrzeniu. Taka jest prawda i przez jakieś trzy lata trzeba się będzie z nią pogodzić.

ŚLADEM NASZYCH PUBLIKACJI

Szanowny Panie Prezydencie!

Od 67 lat jestem łęczycaninem, mieszkam tu od 4 miesiąca mego życia do chwili obecnej — z krótkimi przerwami. Jedną z nich był półroczny pobyt w Łodzi, w czasie okupacji hitlerowskiej, na przełomie lat 1942 i 1943. Był to pobyt przymusowy w więzieniu w Radogoszczu, gdzie zamknięto mnie „Gestapo Litzmannstadt" w związku z wykryciem na terenie Łęczycy i powiatu działalności Związku Walki Zbrojnej. Z łódzkiego Radogoszcza odtransportowano mnie do obozów koncentracyjnych w Mauthausen i Gusen. W 1945 roku wróciłem szczęśliwie do Łęczycy i pracowałem w tym mieście jako adwokat aż do przejścia na emeryturę w 1976 roku.

„NA MAPIE I POZA MAPĄ"

Do napisania tego listu skłoniły mnie dwie audycje telewizyjne, nadane w II programie w ramach „Wiadomości Dnia". Pierwszą był reportaż z narady Pana Prezydenta z pracownikami Urzędu Miasta na temat stanu zaopatrzenia województwa miejskiego łódzkiego w ziemniaki i warzywa (dn. 20.X.1980), a drugą — reportaż z sesji Rady Narodowej m. Łodzi (23.X.1980). Z tych reportaży wynikało, że władze administracyjne Łodzi przekonały się wreszcie, jak „urządziła" to miasto i jego najbliższe okolice reforma administracji z czerwca 1975 roku. Sam pomysł tworzenia „województw miejskich" jest — moim zdaniem — sam w sobie błędny, bo takie „województwo" zawsze jest tworem sztucznym, nie liczącym się z realiami życia i potrzebami wielkiego miasta. O ile jednak stołeczne województwo warszawskie i takież województwo krakowskie oprócz miasta — dominanta obejmuje jeszcze znaczne tereny rolnicze w promieniu średnio około 40 km, to województwo miejskie łódzkie, 3 razy mniejsze od stołecznego, a około dwóch i pół raza od krakowskiego, o wielkości dawnego średniego powiatu, wygląda jak kadłubek z poobcinanymi rękami i nogami. Dość pomyśleć, że końcowe stacje łódzkich tramwajów dojazdowych znalazły się w sąsiednich województwach. Wprawdzie tramwaj do Tuszyna został już zlikwidowany, prawdopodobnie w celu „integracji" województwa piotrkowskiego, ale ten do Lutomierska dalej działa i jest potrzebny. W tychże województwach stoją również główne nadajniki radia i telewizji łódzkiej! Wydaje się, że ówcześni gospodarze m. Łodzi (z roku 1975) chcieli mieć w swoim nowym województwie wyłącznie przemysł i rekreację w Głownie, a jak ognia bali się rolnictwa, rezygnując z takiej bazy wysoko wydajnego rolnictwa warzywnego i hodowlanego, jakim był dawny powiat łęczycki. Sądzili widocznie, że za łódzkie „perkaliki" kupią sobie tyle żywności, ile dusza zapragnie. Życie wykazało, jak błędne były te założenia. Trzeba przyznać, że Warszawa i Kraków bardziej zadbały o właściwe zaplecze rolne dla siebie i chyba takich kłopotów z zaopatrzeniem nie mają.

Ponadto zaczęły działać szablony, oceniając ostrożnie: nie do końca przemyślane. Ktoś wysoko postawiony na szczeblu centralnym ustanowił zasadę, że każde nowe województwo ma znajdować się w rejonie oddziaływania starego miasta wojewódzkiego w zależności od tego, czy jego nowa stolica leżała w granicach starego województwa. I tak podwarszawski Żyrardów i Sochaczew znalazły się w orbicie oddziaływania Łodzi, bo to województwo skierniewickie, a podłódzka Łęczyca odstawiona została do sfery oddziaływania Warszawy, bo to województwo płockie. Skutek jest taki, że mamy lokalną prasę warszawską, a nie mamy zupełnie łódzkiej, że wiemy, co się dzieje np. w gminie Lelis woj. ostrołęckiego, a nie wiemy, co się dzieje w bratnim Ozorkowie o 14 km od nas! Całe zaopatrzenie otrzymujemy z Warszawy przez Kutno, bo to „tylko" 150 km, zamiast z Łodzi, bo to „za daleko", bo aż 36 km! Mogę mnożyć tysięczne przykłady marnotrawienia paliwa na dowożenie do nas z odległości setek kilometrów zaopatrzenia różnego rodzaju, które poprzednio przywożono do nas z Łodzi. O 4 km na południe od nas biegnie sztuczna granica województwa, rozrywając ziemię, która od tysiąca lat stanowiła jedność administracyjną, gospodarczą i kulturalną.

Nic dziwnego, że w maju 1975 roku przeżyliśmy my, łęczycanie, prawdziwy szok nerwowy, gdy gruchnęła wiadomość — niestety, prawdziwa — że nasze miasto i sąsiednie, najlepsze rolniczo gminy będą oderwane od Łodzi i wcielone do nowo tworzonego województwa płockiego. No, bo gdzie Rzym, gdzie Krym? Do granic Łodzi jest 30 km, do jej centrum — 36 km, a do Płocka 75 km. Do Łodzi mamy 16 par pociągów na dobę oraz 35 par autobusów PKS — do Płocka chodzi 7 par autobusów, jedzie się prawie 3 godziny, koleją też można — jak się kto uprze — dojechać, musi tylko poświęcić na tę wyprawę pół dnia. Każdy pociąg, każdy autobus do Łodzi jest pełny, w autobusach do Płocka zawsze są wolne miejsca, bo tam jeździ tylko ten, kto musi coś załatwić we władzach wojewódzkich. Wszystkie zakupy, których nie można załatwić w Łęczycy — a prawie niczego zakupić nie można, bo miasto jest dnem, jeśli chodzi o zaopatrzenie w towary rynkowe — łęczycanie robią wyłącznie w Łodzi, bo i bliżej, i zaopatrzenie nieporównywalnie lepsze niż w woj. płockim. Do Łodzi jeżdżą do teatru i na koncerty, prawie cała łęczycka młodzież akademicka studiuje na uczelniach łódzkich. Każda rodzina w Łęczycy i w okolicznych gminach ma w Łodzi swoich „familiantów", bo przynajmniej 1/4 łodzian tkwi swymi korzeniami w dawnym powiecie łęczyckim. Taka jest prawda — i trzeba nareszcie chcieć ją widzieć.

Dla Łęczycy i pięciu gmin dawnego powiatu łęczyckiego „przydział" do województwa płockiego okazał się, przede wszystkim gospodarczo, bardzo niekorzystny i pozbawiony pomyślnych widoków na przyszłość. Dla władz wojewódzkich w Płocku Łęczyca jest miastem najbardziej odległym, leżącym na marginesie życia województwa. Produkcja rolna łęczyckich gmin nie jest dla miast województwa płockiego potrzebna. Płock i Kutno mają w najbliższym terenie dostateczne zielone zaplecze i niczego z Łęczyckiego nie muszą dowozić. Przemysł Łęczycy: Łęczyckie Zakłady Górnicze, „Watina", „Ema-Elester", POM i inne nie mają nic wspólnego z przemysłem Płocka i Kutna. Zakłady te mają swoje organizacje nadrzędne, albo w Częstochowie (Łęczyckie Zakłady Górnicze), albo w Łodzi (pozostałe zakłady), zaś Spółdzielnia Inwalidów „Tęcza" — aż w Bydgoszczy, chyba tylko po to, aby było trudniej zgadnąć, gdzie kto ma jeździć. Łęczyckie, o dobrych ziemiach i intensywnej produkcji rolniczo-warzywniczej i hodowlanej, przed reformą administracji zaopatrywało przede wszystkim Łódź i inne miasta aglomeracji, a nadwyżki, o ile były, wysyłało do dalszych regionów, przede wszystkim do Gdańska i na Wybrzeże. A dzisiaj Pan Prezydent musi szukać ziemniaków dla Łodzi w województwie słupskim, bagatela — 400—500 km od Łodzi, ale nie wolno Panu kupić ich w Łęczyckiem, o 30—40 km! Bo my wysyłać mamy ziemniaki — dokładnie nie wiem aktualnie gdzie — ale na pewno nie do Płocka, bo on ma dość z własnego terenu, na pewno znów na odległości kilkuset kilometrów. I tak wozimy płody rolne po Polsce „w te i we wte", bo jak wiadomo, samochodów mamy miliony, a benzynę dostajemy za darmo, a i kolej, też — jak wiadomo — nudzi się potwornie wożąc puste wagony po kraju. Czy można wymyślić bardziej nonsensowne i bardziej szkodliwe dla gospodarki narodowej zarządzenia? Chyba nie, chyba to, co jest, to szczyt biurokratycznej bezmyślności!

Nasze miasto istnieje tak długo, jak Polska, w historii narodziło się razem z nią. I nigdy w swych tysiącletnich dziejach nie było województwem płockim, miało swe własne województwo łęczyckie, nie należało nigdy ani do Mazowsza, ani do Wielkopolski — to była po prostu Ziemia Łęczycka, tak, jak dawne województwo sieradzkie. Tak było do rozbiorów Polski w XVIII wieku. W XIX wieku na Ziemi Łęczyckiej powstała przemysłowa Łódź. Łęczyca straciła w sposób — można powiedzieć — naturalny swe dawne znaczenie, a przodownictwo wśród miast tej ziemi objął nowy, dynamicznie rozwijający się ośrodek miejski, jakim z biegiem lat stała się Łódź. Dlatego po odzyskaniu niepodległości w 1918 roku zostało utworzone województwo łódzkie obejmujące dawną gubernię kaliską i północną część guberni piotrkowskiej. Łęczyca i jej powiat były ściśle związane z Łodzią wszystkimi nićmi. Mieszkańcy miasta i powiatu zasilali szeregi łódzkiego proletariatu, a rolnicy łęczyccy, gospodarujący na jedynych w pobliżu Łodzi żyznych ziemiach, żywili miasto, jako że zawsze mieli poważne nadwyżki płodów rolnych i hodowlanych na zbyciu. Sam, mieszkając w dzieciństwie na podłęczyckiej wsi, pamiętam, jak przez cały okres międzywojenny szły nocami na każdy dzień targowy w Łodzi ciężko ładowane wozy chłopskie na Rynek Bałucki, aby sprzedać łodzianom produkty swej pracy. To wszystko zostało obecnie sztucznie i nie wiadomo po co przerwane.

Cieszę się, że samo życie wykazało i uwypukliło ten nonsensowny stan rzeczy. Tylko nie wiem, dlaczego koszty tego nonsensu mają ponosić łodzianie i my, łęczycanie — my w każdym razie bez naszej winy, jako że w feralnym roku 1975 nikt nie zapytał naszego społeczeństwa, ani naszych władz terenowych, czy życzymy sobie oderwania od Łodzi i przyłączenia do województwa płockiego. „O nas — bez nas".

Jestem zdania, że rolnictwo dawnego powiatu łęczyckiego jest w stanie zapewnić aglomeracji łódzkiej taką ilość płodów rolnych i hodowlanych, że nie będzie potrzeba jeździć po Polsce z czapką w ręku i kłaniać się nisko bliższym i dalszym sąsiadom, aby zechcieli łaskawie sprzedać ziemniaki i kapustę dla robotników łódzkich. Życie wykazało twardo, że nie wystarczy mieć tylko przemysł i „perkaliki", aby mieć co włożyć do garnka. Teorie gospodarcze, szkodliwe dla ludzi, powinny być precz odrzucone.

Dlatego mam nadzieję, że Pan Prezydent precyzując żądania władz obecnego województwa łódzkiego o poszerzenie jego granic w celu uzyskania „zielonego" zaplecza, zażąda wcielenia w jego skład nie tylko miasta Łęczycy, ale i 7 gmin dawnego powiatu łęczyckiego, którymi są gminy: Łęczyca, Daszyna, Witonia, Góra św. Małgorzaty, Piątek — obecnie należące do województwa płockiego, oraz Grabów i Świnice Warckie, należące do województwa konińskiego. Wiem, że głos Łodzi ma swą siłę i nie może być zlekceważony przez władze centralne. Dzień, w którym nasze tereny powrócą do swego macierzystego województwa łódzkiego, będzie przyjęty przez ich mieszkańców z zadowoleniem i ulgą, że niedobre czasy szczęśliwie minęły. Piszę tak, bo znam poglądy mieszkańców mojej ziemi łęczyckiej w tym względzie, albo — jak się teraz modnie (aż do znudzenia) mówi — na ten temat.

A poza tym województwo łódzkie obejmie swymi granicami małe, ale ładne i pełne cennych zabytków historycznych, których tak Łodzi brak, miasto, dawną, wielowiekową stolicę swojej ziemi. Chyba i to powinno mieć dla „młodej" Łodzi jakieś znaczenie. Zwłaszcza w obecnym czasie, gdy każdy poszukuje korzeni swego historycznego istnienia.

Łączę wyrazy szacunku i poważania

mgr Władysław Zarachowicz

P.S. Od grudnia 1977 roku przewodniczę nowo powstałemu w Łęczycy Oddziałowi Towarzystwa Naukowego Płockiego. Jest mi miło zawiadomić Pana Prezydenta, że do naszego oddziału zgłosiła swój akces grupa kilkunastu naukowców łódzkich, których praca badawcza od lat jest związana z Ziemią Łęczycką i którzy nie przerwali po reformie administracji swych kontaktów naukowych z Łęczycą i jej regionem. Wśród tej grupy naukowców są: prof. dr Konrad Jażdżewski, prof. dr Andrzej Nadolski, prof. dr hab. Andrzej Abramowicz, doc. dr hab. Tadeusz Poklewski, doc. dr hab. Tadeusz Gałamon, dr inż. arch. Henryk Jaworowski i inni.

ZJEDNOCZENIE

(Z NAJNOWSZEJ HISTORII POLSKI—III)

Dalszy ciąg ze str. 1

I.

Wyzwolenie ziem polskich zmieniło sytuację polityczną w kraju. **Polska Partia Robotnicza, Polska Partia Socjalistyczna,** a ściślej jej lewicowe ugrupowania wychodziły z podziemia. Już 28 lipca 1944 roku w Białymstoku powstało Biuro Organizacyjne PPR, a 31 lipca odbyły się konferencje PPR w Lublinie, Chełmie i Zamościu, na których wybrano komitety miejskie (w Lublinie i Chełmie) i powiatowy w Zamościu. W tym samym czasie powstał komitet wojewódzki PPR w Lublinie. 7 sierpnia powstał komitet wojewódzki PPR w Rzeszowie, a 27 września — w Warszawie.

Na początku sierpnia ukonstytuował się w Lublinie legalnie już działający **Komitet Centralny PPR.** W jego skład weszło 18 osób, w tym 11 osób z okresu działalność konspiracyjnej, 7 byłych działaczy Centralnego Biura Komunistów Polskich w ZSRR. Pięciu członków KC PPR przebywało jeszcze na ziemiach okupowanych.

Komitet Centralny PPR wyłonił Biuro Polityczne, w skład którego weszli: **Jakub Berman, Bolesław Bierut, Władysław Gomułka** (sekretarz KC), **Hilary Minc, Aleksander Zawadzki.** W maju 1945 roku dokooptowano do Biura Politycznego KC PPR **Mariana Spychalskiego i Romana Zambrowskiego.**

Bolesław Bierut, jako przewodniczący KRN, a później prezydent formalnie zwolniony był z obowiązków członka partii przez KC PPR. Wiązało się to z zasadą bezpartyjności prezydenta ustanowioną przed 1939 rokiem. Na sierpniowym Plenum KC PPR w 1948 roku (trwało od 31 sierpnia do 3 września) wybrany został sekretarzem generalnym KC PPR i podano wtedy do publicznej wiadomości, że **Bolesław Bierut** powraca do czynnego życia partyjnego.

W październiku, listopadzie i grudniu 1944 roku powstawały dalsze komitety PPR. Rosły też szeregi partii. 1 września 1944 roku na ziemiach wyzwolonych było 4 633 członków PPR, 31 grudnia — 21 649. Około 12 tysięcy członków PPR było na ziemiach okupowanych. Na początku września 1944 roku KC PPR wydał instrukcję organizacyjną dla członków partii działających na ziemiach okupowanych. Podstawową jednostką organizacyjną partii była komórka PPR.

Wyzwolenie ziem polskich i odbudowa państwa na demokratycznych zasadach postawiła przed partią nowe zadania, zmusiła do zmiany metod działania. Organizując front narodowy do walki z okupantem **Polska Partia Robotnicza** przygotowywała również front sił demokratycznych, które zdolne byłyby do wzięcia władzy w wolnej Polsce. 1 stycznia 1944 roku powstała **Krajowa Rada Narodowa.** Deklaracja programowa KRN opierała się w dużej części na założeniach programowych PPR. Członkowie partii uczestniczyli we wszystkich pracach KRN, byli inicjatorami powoływania terenowych rad narodowych, a zbrojne ramię PPR — Gwardia Ludowa stała się trzonem utworzonej przez KRN Armii Ludowej.

Na czele **Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego stanął Edward Osóbka-Morawski.** W skład PKWN wchodziło: 5 przedstawicieli PPR, 3 — PPS, 4 — Stronnictwa Ludowego, 1 — Stronnictwa Demokratycznego i 2 bezpartyjnych. Manifest PKWN stwierdzał:

„Naród walczący z okupantem niemieckim o wolność i niepodległość stworzył swą reprezentację, swój podziemny parlament — Krajową Radę Narodową. Weszli do Krajowej Rady Narodowej reprezentanci stronnictw demokratycznych — ludowcy, demokraci, socjaliści, członkowie PPR i innych organizacji. Podporządkowały się Krajowej Radzie Narodowej organizacje Polonii zagranicznej i w pierwszym rzędzie Związek Patriotów Polskich i stworzona przezeń armia. Krajowa Rada Narodowa powołana przez walczący naród jest jedynym legalnym źródłem władzy w Polsce".

Manifest PKWN zapowiadał:

„Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego, przystępując do odbudowy państwowości polskiej, deklaruje uroczyście przywrócenie wszystkich swobód demokratycznych, równości wszystkich obywateli bez różnicy rasy, wyznania i narodowości, wolności organizacji politycznych, zawodowych, prasy, sumienia. Demokratyczne swobody nie mogą jednak służyć wrogom demokracji. Organizacje faszystowskie, jako antynarodowe, tępione będą z całą surowością prawa".

I dalej:

„Aby przyśpieszyć odbudowę kraju i zaspokoić odwieczny pęd chłopstwa polskiego do ziemi, Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego przystąpi do urzeczywistnienia na terenach wyzwolonych szerokiej reformy rolnej".

Dekret PKWN o przeprowadzeniu reformy rolnej ukazał się 6 września 1944 roku. W artykule 1, punkt 1, tego dekretu stwierdzono:

„Reforma rolna w Polsce jest koniecznością państwową i gospodarczą i będzie zrealizowana przy udziale czynnika społecznego zgodnie z zasadami Manifestu Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego. Ustrój rolny w Polsce oparty będzie na silnych, zdrowych i zdolnych do wydatnej produkcji gospodarstwach, stanowiących prywatną własność ich posiadaczy".

Zaczynał się w **Polskiej Partii Robotniczej** nowy okres działania. Jawnej już, legalnej współpracy z PPS oraz innymi stronnictwami politycznymi, współudział w organizacji życia społecznego i gospodarczego, odbudowa oświaty, odbudowa kraju. Ale jednocześnie udział w walce z reakcyjnym podziemiem, które nie miało wcale zamiaru oddawać władzy. W lipcu 1944 roku, kiedy formowały się podwaliny nowej Polski, na polecenie naczelnego wodza wojska polskiego na Zachodzie zaczęto tworzyć zalążki nielegalnej, dywersyjnej organizacji „Nie" — „Niepodległość". Członkom Armii Krajowej nakazano, aby pozostawali w podziemiu. 15 sierpnia 1944 roku PKWN rozwiązuje Policję Państwową. Tworzy się Milicję Obywatelską, jej komendantem głównym został gen. **Franciszek Jóźwiak.** 24 sierpnia ukazuje się dekret o rozwiązaniu tajnych organizacji na terenach wyzwolonych. Członkom tych organizacji umożliwiono dalszą walkę w szeregach WP, uznając otrzymane w konspiracji stopnie wojskowe. Wielu żołnierzy konspiracyjnych oddziałów skorzystało z tego. Wielu nie. Rozpoczęła się podziemna walka o władzę, która spowodowała w latach późniejszych wiele konfliktów na tle politycznym. Nie tylko tych, którzy nie ujawnili się uznano sługami reakcji, ale pod to krzywdzące miano podciągnięto również wielu oddanych Polsce patriotów, którzy nie kierując się racjami politycznymi szli tam walczyć, gdzie taką możliwość znajdywali. Musiały przejść lata, aby te nieprawdy mogły zostać sprostowane. Ale krzywdy pozostały.

W czasach walki o władzę wszystko wydawało się proste. Kto nie z nami, ten przeciw nam — taka maksyma przyświecała wielu poczynaniom i wielu ocenom ludzi. Warto jednak pamiętać i o tym, że walka o władzę rozpoczęła się na długo przed wyzwoleniem wschodnich terenów Polski, na długo przed powstaniem KRN i PKWN. **Jerzy Janusz Terej** w książce pt. **„Rzeczywistość i polityka"** cytuje fragment artykułu z **„Wielkiej Polski"** pisma ugrupowań narodowych. Fragment ten pochodzi z lipca 1943 roku:

„Kontrterror i sabotaż na wielką skalę... stosowany dzisiaj niemal wyłącznie przez komunę jest nie tylko niesłychanie dla nas kosztowny, ale jednocześnie z gruntu sprzeczny z polską racją stanu. Wiemy, że wobec nieuchronnej katastrofy Niemiec właściwa rozgrywka toczy się obecnie w istocie rzeczy już nie z Niemcami, ale pomiędzy Anglosasami i Rosją... Zwycięstwo Sowietów w tej grze oznaczałoby dla Polski kompletną katastrofę. Dlatego musimy zrobić wszystko, co jest w naszej mocy, żeby do tego nie dopuścić. A już przede wszystkim nie wolno nam uczynić niczego, co by mogło dopomóc Sowietom. Dlatego też musimy chwilowo powstrzymać się od szerszej akcji czynnej przeciwko Niemcom, która by ułatwiała zadanie Czerwonej Armii...

Koniecznością dnia dzisiejszego jest również czyn, którego naczelnym zadaniem jest przed wybuchem powszechnego powstania oczyszczenie terenu Polski ze stanowiących drugą okupację partyzanckich oddziałów i band komunistycznych... Zadanie to — zniszczenie oddziałów i band komunistycznych — spełnią nasze własne, polskie oddziały partyzanckie zorganizowane przez Narodowe Siły Zbrojne. Zadanie to wykonać więc musimy i wykonamy".

Do realizacji tego zadania przystąpiono jeszcze pod okupacją. Z rąk NSZ zginęło wielu komunistów, działaczy ludowych, lewicowców. Po odzyskaniu niepodległości reakcyjne podziemie, w tym również NSZ dalej mordowały działaczy PPR, PPS, ludowców, ludzi przeprowadzających reformę rolną, milicjantów, nauczycieli. W czasie obrad Plenum KC PPR w lutym 1945 roku **Władysław Gomułka** poinformował, że w 1944 roku w walce z reakcyjnym podziemiem oddało życie 200 członków PPR.

Polska Partia Robotnicza, działając w nowych warunkach, powoływała coraz to nowe komitety na ziemiach wyzwolonych, oddelegowywała swoich najlepszych ludzi do pracy w milicji, w aparacie bezpieczeństwa, w przemyśle, do organizacji władzy na Ziemiach Zachodnich i Północnych. Partia kadrowa, która w trudnych warunkach walki podziemnej wzięła na siebie ciężar jej organizacji, tworzenia frontu narodowego do walki z okupantem, do przełamania monopolu burżuazji na władzę, ta partia stawała się teraz masową, budowała swoją strukturę od dołu, wyrastała z klasy, której była przewodniczką, rosła w siłę mając tej klasy uznanie i poparcie. W końcu kwietnia 1945 roku PPR miała 301 695 członków. W tym czasie **Polska Partia Socjalistyczna** liczyła 124 428 członków.

II.

Polski ruch socjalistyczny przechodził w czasie wojny różne przeobrażenia. Powstawały ugrupowania socjalistyczne różniące się między sobą poglądami i programami: **PPS — Wolność, Równość, Niepodległość, Polscy Socjaliści,** a później **Robotnicza Partia Polskich Socjalistów, PPS — Lewica.** Powstanie **Polskiej Partii Robotniczej,** do której część socjalistów ustosunkowała się niechętnie, a część wręcz wrogo, zmusiło jednak ruch socjalistyczny do podjęcia decyzji o współpracy. Rodziła się ona z oporami W końcu jednak wielu polskich socjalistów stanęło na stanowisku, że współpraca z PPR leży w interesie klasy robotniczej, narodu polskiego, w interesie walki o niepodległość. Wspólnie więc już tworzono **Krajową Radę Narodową.**

Po wyzwoleniu Lublina powołano **Komitet Organizacyjny PPS.** Na jego czele stanęli: **Bolesław Drobner, Jan Stefan Haneman, Stefan Matuszewski, Edward Osóbka-Morawski.** Zaczęto wydawać **„Barykadę Wolności"** — pismo Komitetu Organizacyjnego PPS. Przygotowywano konferencję działaczy PPS, która odbyła się 10 i 11 września 1944 roku w Lublinie i uważana jest za **XXV Kongres PPS.** W Kongresie tym uczestniczyli delegaci i przedstawiciele PPS — Lewicy, RPPS, socjalistów z emigracji w ZSRR, niektórzy członkowie PPS — WRN. Wybrano Radę Naczelną, której przewodniczącym został **Bolesław Drobner,** Centralny Komitet Wykonawczy, którego przewodniczącym został **Edward Osóbka-Morawski** oraz wybrano sekretarza generalnego, którym został **Stefan Matuszewski.** Kierownictwo odrodzonej PPS stanęło na stanowisku współpracy z PPR oraz ułożenia dobrosąsiedzkich stosunków z ZSRR. Wśród programowych założeń znalazły się i takie:

„PPS i PPR stanowią dwie bratnie organizacje, działające na terenie klasy robotniczej".

A co za tym idzie:

„... wspólne cele w obronie interesów robotniczych i wspólne dążenie do ideałów sprawiedliwości społecznej wymagają koordynacji i porozumienia w działalności tych dwóch partii".

Rozpoczęło się tworzenie komitetów PPS. Szybko też rosły szeregi partii, choć nie wszyscy socjaliści wstępowali do odrodzonej PPS, wielu z nich pozostało jeszcze w nielegalnej PPS — WRN. Na przełomie 1944 i 1945 roku w PPS było 7 663 członków.

17 września 1944 roku odbyła się pierwsza konferencja wojewódzka PPS w Rzeszowie, która wybrała komitet wojewódzki PPS. W styczniu 1945 roku powstały komitety PPS w Krakowie, Łodzi, Katowicach, Radomiu, Częstochowie, Kielcach. 1 lutego — w Warszawie. W marcu — w Poznaniu Kartuzach, Tczewie, W kwietniu — w Olsztynie, Gdańsku, Gdyni, Wałczu, Pile. w maju — w Szczecinie. W kwietniu 1945 roku PPS liczyła 124 tysiące członków.

17 listopada 1944 roku Rada Naczelna PPS potwierdziła konieczność ścisłej współpracy z PPR. Tę współpracę rozpoczęto — poza wieloma innymi akcjami — przy przekształcaniu PKWN w Rząd Tymczasowy. 24 grudnia na konferencji przedstawicieli KC PPR i CKW PPS omówiono współpracę przy utworzeniu Rządu Tymczasowego. Rząd taki powstał 31 grudnia 1944 roku. **Bolesław Bierut** został prezydentem KRN, a na czele rządu stanął **Edward Osóbka-Morawski.**

Obie partie podjęły też współpracę z innymi stronnictwami politycznymi. 24 listopada 1944 roku powstała w Lublinie **Centralna Komisja Porozumiewawcza Stronnictw Demokratycznych,** do której weszli przedstawiciele PPR, PPS, SL i SD.

III.

Współdziałanie obu partii leżało w interesie klasy robotniczej i w interesie dalszego rozwoju całego społeczeństwa. Nie było ono wówczas jednolite w poglądach na przyszłość Polski. Wielu ludzi odnosiło się niechętnie, a nawet wrogo do dokonujących się w kraju przemian. Różnice w poglądach na wiele spraw aktualnych, na politykę partii występowały też w obu partiach. **Polska Partia Robotnicza** stała na stanowisku tworzenia frontu narodowego, współdziałania wszystkich sił demokratycznych. Stanowisko takie budziło sprzeciw wielu działaczy, a wśród nich i tych, którzy wojnę spędzili w ZSRR i na sprawy kraju patrzyli przez pryzmat odmiennych doświadczeń. **Polska Partia Socjalistyczna** musiała przezwyciężać w swoich szeregach niechęć do współpracy z PPR, obawę, że PPR zdominuje PPS i narzuci jej swoją linię.

W lutym i maju 1945 roku odbyły się plenarne posiedzenia KC PPR oraz również w maju 1945 roku **Ogólnopolska Konferencja Aktywu PPR.** Dokonano wówczas oceny sytuacji politycznej w kraju i na zewnątrz, oceny sytuacji w partii, wypowiadając zdecydowaną walkę sekciarstwu, polegającemu na przecenianiu roli czynników administracyjnych w walce z prawicą w kraju i na niedocenianiu roli sojuszników partii, roli frontu demokratycznego. Wydano też walkę korupcji, karierowiczowstwu, bezideowości. Zapoczątkowano weryfikację członków partii. W wyniku weryfikacji przeprowadzonej między majem a lipcem 1945 roku liczba członków partii spadła z 300 tysięcy do 190 tysięcy.

W dniach od 6 do 13 grudnia 1945 roku obradował **I Zjazd Polskiej Partii Robotniczej.** Było to w ruchu robotniczym wydarzenie historyczne. Polska Partia Robotnicza, która powstała w trakcie walki z okupantem, kształtowała się i rozwijała w trudnych dniach budowy podstaw demokratycznego państwa, stanęła teraz przed koniecznością oceny przebytej drogi oraz nakreślenia celów i kierunków działania na przyszłość. W przyjętej rezolucji I Zjazd PPR stwierdził:

„Polska Partia Robotnicza, nawiązując do bohaterskiej walki i ideowych zdobyczy polskiego ruchu robotniczego na przestrzeni 70 lat, przezwyciężyła i odrzuciła błędne koncepcje w ruchu robotniczym i ugruntowała ideologię partii na zasadach utrwalenia niepodległości i bezpieczeństwa Polski oraz oparcia życia narodu i odrodzonego państwa polskiego na podstawach demokracji ludowej.

Zjazd stwierdza, że Polska Partia Robotnicza jest nową partią klasy robotniczej i mas pracujących w mieście i na wsi, partią, która powstała i wyrosła w walce z hitlerowskim najeźdźcą o wolność i niepodległość Polski, o odrodzenie całego narodu w duchu demokracji".

Jak I Zjazd PPR widział drogę przeobrażeń ustrojowych Polski?

„Zjazd stwierdza, że jednolity front robotników i solidarne współdziałanie Polskiej Partii Robotniczej z Polską Partią Socjalistyczną oraz sojusz robotniczo-chłopski są najlepszą rękojmią pełnego unicestwienia reakcji i jej ideologii, osiągnięcia zwycięstwa demokracji w wyborach, jak też zrealizowania uchwał Zjazdu, prowadzących do ludowo-demokratycznego rozwoju Polski".

A więc była to koncepcja przewodzenia, koncepcja utrzymania inicjatywy w realizacji celów politycznych i ideologicznych. Była to podstawa dla spełniania przewodniej roli w społeczeństwie w okresie walki politycznej, walki też zbrojnej, bo działało podziemie reakcyjne, walki ideowej, walki klasowej. Była to więc koncepcja prowadzenia tej walki razem z sojusznikami. Tym bardziej, że w kraju trzeba było przeprowadzić zasadnicze reformy.

„Zjazd wzywa Komitet Centralny do przeprowadzenia wraz z innymi partiami demokratycznymi dekretu o unarodowieniu wielkiego i średniego przemysłu, kolei i banków.

Jednocześnie Zjazd stwierdza potrzebę istnienia inicjatywy prywatnej w zakresie nie unarodowionego przemysłu oraz rzemiosła i handlu, jak również konieczność stworzenia dla inicjatywy prywatnej warunków gwarantujących jej pewność działania i pewność inwestycji".

A więc również w dziedzinie reform zasadniczych, tworzących podstawy nowego ustroju Polski, PPR widziała możliwość istnienia i funkcjonowania różnych form własności, ich wzajemnej współpracy i współistnienia w realizacji zadań gospodarczych. Droga ta — tak jasno zarysowana — była później wielekroć, zakręcana raz na niej zapalano zielone światła, raz żółte, a raz wręcz czerwone. A przecież aktualność takiej drogi uznajemy do dziś, tylko nie umiemy jej konsekwentnie realizować.

Nie umiemy też właściwie widzieć miejsca spółdzielczości w naszym modelu gospodarczym. **I Zjazd PPR** tak ten problem określił:

„Zjazd stwierdza, że jedną z przyczyn hamujących rozwój naszej gospodarki jest nieregulowanie zagadnienia handlu i rozdzielnictwa, co stworzyło możliwości rozwoju elementów spekulacyjnych.

Spółdzielczość, jak dotąd, nie stała się dostatecznie skutecznym instrumentem walki ze spekulacją. Aby spółdzielczość mogła skutecznie spełniać to swoje zadanie, winna ona skorygować ściśle swoją działalność z polityką gospodarczą państwa i przeprowadzić szeroką wewnętrzną demokrację.

I Zjazd wzywa partię do skoncentrowania wysiłków na odcinku spółdzielczości — dla przeprowadzenia usprawnienia spółdzielczości, w uzgodnieniu i najściślejszym porozumieniu z PPS i innymi organizacjami demokratycznymi".

I jeszcze jeden ważny czynnik:

„Zjazd wzywa do energicznej, bezwzględnej walki z nadużyciami i korupcją. Za jedną z głównych dróg w tej walce uważa Zjazd wzmożenie kontroli społecznej przez rady narodowe oraz stworzenie organów rewizyjnych we wszystkich dziedzinach naszej gospodarki. Organy te winny składać się zarówno z elementu fachowego, jak i z ludzi wysuniętych przez rady zakładowe, związki zawodowe itd.".

Historia oczywiście się nie powtarza. W stwierdzeniach **I Zjazdu PPR** trudno szukać wskazań dla rozwiązania naszych kłopotów. Inne to były warunki, inny sposób myślenia, inni ludzie. Ale dziś ważne jest dla nas stwierdzenie, do jakich tradycji nawiązujemy. Mamy w historii partii tradycje i sekciarstwa i mamy śmiałej, marksistowskiej myśli, wynikającej z rzetelnej analizy sytuacji. Myślę, że właśnie do takich tradycji musimy nawiązywać, w nich szukać inspiracji, one powinny stać się podstawą naszych, dzisiejszych przemyśleń.

IV.

Droga do zjednoczenia partii nie była łatwa. Trzeba było przezwyciężyć wewnętrzne opory zarówno wśród członków PPR, jak i PPS. W PPS z obawą przyjęto wysunięte przez PPR w kwietniu 1947 roku hasło rozpoczęcia przygotowań do zjazdu zjednoczeniowego. Z drugiej jednak strony w jednej i drugiej partii byli ludzie, którzy rozumieli, że dla dalszego rozwoju kraju, dla umacniania władzy ludowej niezbędna jest jedność ruchu robotniczego. Jedność ta — tak ją wówczas wielu rozumiało — nie oznacza uniformizmu metod, poglądów, stylu działania. Stało się inaczej, ale i warunki w jakich dokonywało się zjednoczenie ruchu robotniczego w krajach Europy Wschodniej nie sprzyjały należytemu przygotowaniu tak ważnego procesu, jak ujednolicenia tego ruchu przy zachowaniu wszystkiego, co w jego tradycji było dobre i twórcze. Problem wyboru tradycji jest zresztą aktualny do dziś.

Po drugiej wojnie światowej szybko nastąpiło ochłodzenie stosunków między aliantami. Sprzeczności, jakie do tej pory ustępowały celowi nadrzędnemu, walce z faszyzmem, teraz doszły do głosu. Tym bardziej, że w wyniku przeobrażeń po drugiej wojnie światowej powstał i umacniał się obóz krajów demokracji ludowej sprzymierzonych z ZSRR, który nie krył, że będzie przekształcał się w obóz socjalistyczny. Taka zmiana w układzie sił na świecie nie była po myśli państw kapitalistycznych. Zapanowały czasy „zimnej wojny", czasy „żelaznej kurtyny".

W partiach komunistycznych i robotniczych przyjęto Stalinowską tezę o zaostrzającej się walce klasowej. Na przełomie lipca i sierpnia 1948 roku obradowało Plenum KC PPR, które uznało, że w partii powstała grupa, która wyznaje poglądy prawicowo-nacjonalistyczne. Na czele tej grupy miał stać **Władysław Gomułka.** III Zjazd PZPR z marca 1959 roku odrzucił takie stwierdzenie, uznając, że było ono nieuzasadnione. W innych partiach też doszukiwano się wrogów i agentów imperializmu. Niesłusznie oskarżonych i skazanych zrehabilitowano po 1956 roku.

Problem zjednoczenia partii komunistycznych i socjalistycznych stał się aktualny jesienią 1947 roku. Wprawdzie wcześniej, bo w kwietniu 1946 roku dokonało się zjednoczenie ruchu robotniczego w radzieckiej strefie okupacyjnej i powstała wówczas **Socjalistyczna Partia Jedności,** ale stało się to w zupełnie innych warunkach i niejako poza procesem zjednoczenia w ruchu robotniczym, jaki dokonał się w 1948 roku w **Rumunii,** na **Węgrzech,** w **Czechosłowacji** i w **Bułgarii.** W Polsce **Kongres Zjednoczeniowy rozpoczął się 15 grudnia 1948 roku. Powstała Polska Zjednoczona Partia Robotnicza.**

Czasem można spotkać się z pytaniem: czy zjednoczenie ruchu robotniczego było konieczne, czy nie mogłyby istnieć dwie partie robotnicze? Jest to pytanie ahistoryczne. W ocenie faktów historycznych nie można stosować metody „gdybania". Zjednoczenie ruchu robotniczego nie tylko w Polsce jest faktem historycznych, wynikłym z historycznych przesłanek. I w tym kontekście jest faktem pozytywnym, twórczo wpływającym na dalszy rozwój kraju i ruchu robotniczego. Nie oznacza to jednak, że zjednoczona partia nie ustrzegła się błędów, wypaczeń, kryzysów, nieprawidłowości, że nie odchodziła od leninowskiego modelu. Ale to wynika również z wyboru tradycji, które przyczyniły się do ukształtowania takiego a nie innego sposobu myślenia, podejścia do rzeczywistości, czasami przecież antydialektycznego, antymarksistowskiego. Być może inne kraje Europy, czy innych kontynentów, kształtując swoją własną drogę do socjalizmu, uznają za właściwe, wynikające z analizy rzeczywistości, z tradycji narodowych, z aktualnych potrzeb przyjęcie innego modelu. Nasza droga zakłada jedną partię robotniczą i musimy zrobić wszystko, aby była to partia trwale utrzymująca więź z klasą robotniczą, z całym narodem, aby to była partia zawsze trzymająca się dialektyki i marksizmu-leninizmu. I to w ogromnej mierze zależy od wszystkich członków partii. Jak również od tego, jak głęboko poznamy historię naszej partii, jak dobrze potrafimy wyciągnąć z tej historii to wszystko, co pozwoli nam twórczo kształtować stosunek do rzeczywistości I to jest nasze pilne zadanie, właśnie teraz przed IX Zjazdem PZPR, kiedy wszyscy powinniśmy brać udział w kształtowaniu programu partii.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

MAŁGORZATA GOLICKA

Autonomia

„Uznanie samorządności jako zasady działania ma szczególne znaczenie dla uczelni ze względu na wielowiekowe tradycje ich autonomii, a także na fakt, że nauka i nauczanie akademickie rozwijały się zawsze najlepiej, gdy była ona respektowana — zaś doznawały uszczerbku, gdy ją naruszano" — piszą autorzy Komisji do Spraw Modelu Uniwersytetu Łódzkiego w opracowanym dokumencie. Autorzy dokumentu nie przypuszczali, iż stanie się on, obok dokumentu krakowskiego, przedmiotem ogólnopolskiej dyskusji na konferencji zorganizowanej w grudniu przez Uniwersytet Jagielloński. Radiowe „Cztery pory roku" zaoferowały słuchaczom obszerne sprawozdanie z tej narady, a przed kamerami Dziennika Telewizyjnego odbyła się krótka rozmowa z przedstawicielami komisji z Krakowa i z Łodzi. Przy okazji przestawiono nazwiska rozmówców, co jest znamienne, gdyż w minionych latach rzadko dawano telewidzom możność konfrontacji z naukowcami spoza stołecznych uczelni.

Model Uniwersytetu Łódzkiego, opracowany przez komisję, na której czele stał prof. dr Jerzy Wróblewski, międzynarodowy autorytet w zakresie teorii państwa i prawa, przedstawia uczelnię od strony jej funkcjonowania oraz wskazuje kierunki zmian ustawy o szkolnictwie wyższym. Propozycje modelu dotyczą wszystkich uniwersytetów w kraju, a częściowo również innych szkół wyższych.

„Celem Uniwersytetu jest — w myśl założeń modelu — prowadzenie działalności naukowo-badawczej i dydaktyczno-wychowawczej. Uniwersytet służy w ten sposób rozwojowi ogólnoludzkich wartości kulturowych, zwłaszcza zaś poszukiwaniu prawdy. Uczestnicząc ponadto w wychowaniu młodzieży i kształcąc ją na najwyższym poziomie, bierze czynny udział w pomnażaniu narodowego dorobku. Ze względu na wszystkie te funkcje powinno się przyznawać wysoki autorytet UŁ i innym uczelniom oraz instytucjom akademickim. Upoważnia je to do współdziałania w procesach podejmowania doniosłych decyzji w skali kraju i regionu, zwłaszcza przez działalność konsultacyjną i opiniodawczą.

(...) Wypowiadanie się pracowników nauki w sprawach ważnych dla kraju i regionu stanowi ich prawo i obowiązek, a warunkiem ich realizacji jest praktyczne zapewnienie im możliwości wypowiedzi w tym zakresie".

Powyższe zdania wyraźnie określają rolę uczelni w życiu społecznym, a tym samym kładą kres przestarzałym, a spotykanym jeszcze niekiedy hasłom o uprawianiu tzw. czystej nauki. Miejsce uczelni w życiu społecznym nurtuje nie tylko polskich naukowców. Charakterystyczne mogą tu być na przykład tezy prof. S. B. Gouldа, przedstawione przed kilku laty dziennikarzowi „U. S. News": „Kiedy byłem studentem — powiedział S. B. Gould — powszechnie sądzono iż podstawową misją uniwersytetu jest zgłębienie idei, rozwijanie działalności w sferze myśli. Nikt nie zastanawiał się nad tym, czy uniwersytet powinien uczestniczyć w zmianach społecznych zachodzących na zewnątrz. Dzisiaj od uniwersytetu oczekuje się nie tylko, aby reagował żywo na wszystko, co dzieje się w świecie, ale równocześnie, by odgrywał wiodącą rolę w procesie przemian społecznych. Są to duże wymagania. Sądzę, że jeden z problemów współczesności sprowadza się do tego, czy uniwersytet może nadal spełniać swe podstawowe zadania intelektualne, a jednocześnie dawać z siebie to wszystko, czego się od niego wymaga".

Gdyby nie nazwisko autora i tytuł gazety, można by sądzić, iż te uniwersalne słowa wypowiedziano u nas w kraju.

Realizację tych złożonych charakterystycznych dla współczesności problemów autorzy łodzkiego projektu widzą przede wszystkim w przywróceniu uczelniom podstawowych zasad samorządności. Jednym z przejawów tej samorządności jest wybór władz uczelni. Najwyższym organem uniwersytetu byłby więc jak dotychczas Senat, w skład którego wchodzą: rektor, prorektorzy i dziekani oraz przedstawiciele organizacji politycznych, zawodowych i studenckich. Rektorzy i dziekani będą wybierani, w myśl projektu, przez Senat i Rady Wydziałów na okres trzech lat, przy czym co najwyżej na dwie kolejne kadencje. Istotny jest 24 punkt projektu, który zakłada, iż **„właściwe funkcjonowanie uczelni wymaga, by władze organizacji politycznych i społecznych nie zastępowały w procesach decyzyjnych działań organów uczelni".**

Całe środowisko akademickie zgodnie lansuje zasadę wybieralności władz, podkreślając jednocześnie potrzebę zwiększenia ich kompetencji i odpowiedzialności. Między modelem łódzkim a krakowskim istnieją jedynie niewielkie różnice. Uniwersytet Jagielloński proponuje wybór wszystkich dyrektorów Instytutów, natomiast Uniwersytet Łódzki tylko w tych Instytutach, w których gronie pracuje 10 samodzielnych pracowników naukowych. W pozostałych, mniejszych Instytutach, dyrektorzy i kierownicy Katedr byliby mianowani przez rektora po zasięgnieniu opinii Senatu, na wniosek Rady Wydziału.

Znaczenie bardziej bulwersuje środowisko akademickie kwestia reprezentacji studentów w Senacie. Uniwersytet Jagielloński proponuje przeznaczyć dla studentów 33 proc. miejsc w Senacie motywując swą propozycję doświadczeniem z własnej uczelni, w której taka reprezentacja młodzieży w Senacie od kilku lat zdaje już egzamin. Uniwersytet Łódzki proponuje młodzieży 25 proc. miejsc, gdy tymczasem studenci dopominają się zwiększenia reprezentacji do 1/3.

Zasada wybieralności władz uczelni i udziału studentów w zarządzaniu jest niemal tak stara, jak sam uniwersytet. A w uniwersytecie prawniczym w Bolonii, w XI wieku,

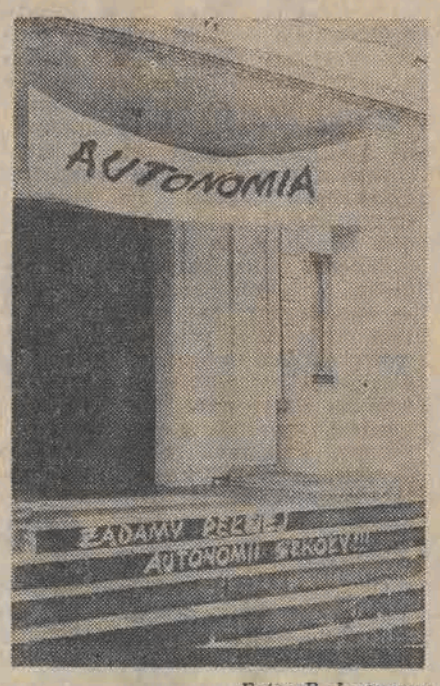

Foto: R. Łucyszyn

rektora wybierały związki (nacje) studenckie. Mógł nim zostać student po ukończeniu 25 roku życia i kilku latach studiów. Studenci nie mieli wpływu na ściśle określony zakres prac profesorów, związany m. in. z nadawaniem stopni naukowych, udzielaniem prawa do wykładania, itp. To rozgraniczenie praw i obowiązków było tak zgodne ze zdrowym rozsądkiem, iż wydaje się, że w 1980 roku nie potrafimy wymyśleć nic lepszego. I zbyt przesadne wydają się być sugestie, aby studenci mieli prawo głosu we wszystkich decyzjach podejmowanych przez Senat. Prof. S. B. Gould, we wspomnianym już wywiadzie, stwierdza, iż studenci należą tylko przez jakiś okres do społeczności akademickiej, i dlatego nie mogą zarządzać uniwersytetem, ani ponosić odpowiedzialności za jego funkcjonowanie. Poza tym, kierując tego rodzaju instytucją, nie mieliby czasu na nic innego. Sądzi jednak, że studenci powinni współuczestniczyć w zarządzaniu uniwersytetem, ponieważ wszystko, co się tam dzieje, w jakiś sposób ich dotyczy. Powinno się na przykład zasięgać ich rady w takich sprawach, jak planowanie pomieszczeń i budynków, z których będą później korzystać. Studenci mogą też uczestniczyć w wielu innych dziedzinach pracy uczelni — w dziedzinie akademickiej, socjalnej i administracyjnej.

Przyznam, że kwestia procentu miejsc w Senacie nie jest dla mnie najważniejsza. Bardziej istotne jest, w jaki sposób reprezentanci młodzieży włączą się do współrządzenia uczelnią, i jacy studenci będą zasiadać w Senacie. Najważniejsze jest to, aby znaleźć, jak to powiedział jeden z członków Niezależnego Zrzeszenia Studentów, aż tylu rozsądnych studentów.

Ze swej strony, w rozdziale poświęconym „Zagadnieniom dydaktyczno-wychowawczym" model postuluje m. in. współdziałanie z młodzieżą w przezwyciężaniu minimalistycznych postaw wśród studiujących, domaga się przedłużenia czasu trwania studiów do lat 4,5 lub 5 i takiej zmiany regulaminu studiów, który preferowałby studentów zdolnych i aktywnych, a nie miernych, jak dotychczas. Na przedłużenie czasu trwania studiów będziemy musieli jednakże poczekać, gdyż według obliczeń resortu przedsięwzięcie to pociągnie za sobą miliardowe nakłady.

Natomiast w sprawie rekrutacji na studia łodzianie sugerują, iż należałoby respektować prawo do nauki wszystkich chętnych, rezygnując z punktów preferencyjnych, miejsc rektorskich, a na studiach zaocznych z tzw. rekrutacji kierowanej. Należałoby natomiast zgodnie z zasadami sprawiedliwości społecznej, ułatwić wstęp na studia kandydatom ze wsi i małych ośrodków.

W prowadzonej obecnie batalii o powrót autonomii uczelni, nie można zapominać o tym, iż po wojnie polskie szkoły posiadały już znaczną samodzielność i prawo wyboru władz. Odebranie tych przywilejów w latach 1968—69 miało charakter represji, z którymi środowisko akademickie nie mogło się do tej pory pogodzić.

Jak silne jest pragnienie powrotu do odebranych praw, świadczy obecna sytuacja wyższych uczelni. Na przykład, w PWSSP w Łodzi ekipa rektorska, chcąc przyśpieszyć proces demokratyzacji uczelni, podała się do dymisji i z ostatnich informacji, jak nam wiadomo, opracowano w szkole ordynację wyborczą. W PWSFTviT, w drastycznej i konfliktowej sytuacji, po ustąpieniu rektora, szkołą kierowała demokratycznie wybrana Komisja Odnowy Uczelni. Ministerstwo Kultury i Sztuki zakwestionowało działalność tej komisji i proponowaną strukturę uczelni, sprzeczną z obowiązującą dotychczas ustawą o szkolnictwie wyższym. W tej sytuacji NZS podjął akcję „Solidarnego Czekania" na decyzję ministra. W trosce o dobro uczelni zawieszono działania protestacyjne po wyborze przez Senat elekcyjny nowego rektora. W innej jeszcze sytuacji znalazł się Uniwersytet Łódzki, w którym NSZZ „Solidarność" ogłosił list otwarty, proponujący demokratyczne wybory rektorów i dziekanów jeszcze w listopadzie. List ogłoszono podczas nieobecności w Łodzi rektora i I zastępcy. Po rozmowach z przedstawicielami Ministerstwa Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki oraz obecnymi prorektorami strony wyjaśniły, iż list nie stanowi votum nieufności wobec władz uczelni, lecz jest odbiciem społecznych dążeń do jak najszybszego przywrócenia demokracji uczelni. Przychylono się także do prośby ministra resortu i ustalono, iż wybory nowych władz odbędą się w terminie proponowanym przez przygotowywaną ustawę, czyli na wiosnę przyszłego roku. Sytuacje są więc różne i sądzę, że każda uczelnia, zgodnie z postulowanymi prawami do samodzielności, znajdzie najlepsze dla siebie rozwiązanie.

Model opracowany przez Uniwersytet Łódzki oscyluje nie tylko wokół spraw wybieralności władz. **Osobny pakiet propozycji dotyczy zagadnień związanych ze sterowaniem nauką i pracami naukowo-badawczymi. Wiele miejsca poświęca się zmniejszeniu biurokracji i ograniczeniu obowiązującej dotąd nadmiernej sprawozdawczości.**

Dokument ma charakter roboczy, niemniej przedstawia on, jak to trafnie określono na niedawnym posiedzeniu Senatu UŁ, jeszcze niedoskonały ale całkowicie realny model uczelni. Ważne, aby przygotowywana obecnie nowa ustawa o szkolnictwie wyższym (w pracach Komisji Kodyfikacyjnej pracuje liczna reprezentacja prawników z UŁ), a która — według przewidywań — zostanie przedstawiona Sejmowi podczas wiosennej sesji, stwarzała prawne możliwości do wprowadzenia tego modelu w życie. Stąd też członkowie Senatu UŁ postanowili ostateczną dyskusję nad modelem uczelni połączyć z dyskusją nad założeniami ustawy, w styczniu przyszłego roku. Z góry trzeba jednak założyć, iż nowa ustawa przeznaczona dla różnego typu uczelni, a więc reprezentujących nie zawsze zgodne interesy, nie zadowoli wszystkich szkół wyższych. Powinna być więc tak skonstruowana, aby nie zamykała, lecz otwierała uczelniom drogę do autonomii.

TOMASZ SOLDENHOFF

CZEKANIE NA TARGOWEJ

W czwartek 4 grudnia niespodziewanie zatrzaśnięto zwykle gościnnie rozchyloną bramę łódzkiej Szkoły Filmowej... Ostatnimi, którzy przebyli ją swobodnie, byli delegaci Ministerstwa Kultury, odjeżdżający po burzliwych rozmowach z Komisją Odnowy Uczelni.

Wkrótce potem zarząd Niezależnego Zrzeszenia Studentów w PWSFTviT ogłosił „ostrą gotowość strajkową". W portierni Szkoły pojawili się studenci z biało-czerwonymi opaskami, rozpoczęto wydawanie przepustek. Następnego dnia zorganizowano pospiesznie konferencję prasową, na której zelektryzowani wieściami z Targowej dziennikarze dowiedzieli się jednak że „ostra gotowość strajkowa" przybrała nową, złagodzoną formę. Nazwano ją „SOLIDARNYM CZEKANIEM".

Inicjatorzy przekonywali, że nikt w Szkole nie chce strajku. Proklamowanie innej formy zbiorowego protestu — przez wywieszenie flag i pozostawanie „bez przerwy i do skutku" na terenie uczelni, bez przerywania zajęć — miało być wszakże nie mniej sugestywnym dowodem zdecydowanego poparcia studentów dla ustaleń Komisji Odnowy Uczelni.

O zmianach, jakie nastąpiły ostatnio w Państwowej Wyższej Szkole Filmowej Telewizyjnej i Teatralnej, pisał już na tych łamach obszernie i z sympatią dla nich Konrad Frejdlich („Kopiec termitów", „ODGŁOSY" Nr 46 z 16.11. br.); nie będę więc tu powtarzał szczegółów. Autor prześledził rozwój sytuacji do 6 listopada, gdy w PWSFTviT powstała Komisja Odnowy Uczelni, reprezentująca ogół pracowników i studentów, a mająca za cel „przygotowanie oraz doprowadzenie do wyborów i ukonstytuowania się nowego Senatu w oparciu o demokratyczną strukturę, gwarantującą pełną autonomię i samorządność uczelni" (z komunikatu Komitetu Ruchu Odnowy).

Komisja ta opracowała i 21.11. przedstawiła projekt składu i ordynacji wyborczej tzw. Senatu Elekcyjnego, który zapewnić miał autentyczną bezstronność wyboru rektora. Zaproponowała również istotne zmiany w ustroju Szkoły. 27.11. projekty te przedstawiono wiceministrowi KiSz Władysławowi Lorancowi. Po uzupełnieniach i poprawkach KOU przyjęła ich wersje ostateczne i 4.12. przedłożyła MKiSZ.

Ale delegaci ministerstwa nie zaakceptowali tych projektów. Zadecydowała o tym propozycja wyłaniania z szerokiego Senatu 31-osobowego Senatu ścisłego, mającego stanowić najwyższą władzę ustawodawczą i programującego rozwój ideowy i artystyczny uczelni, m.in. przez zatwierdzanie programów nauczania wydziałów, rozwoju planów kadrowych i kandydatów na stanowiska kierownicze, a także programu realizacji prac artystyczno-badawczych, przez wnioskowanie w sprawach zmian, tworzenia i znoszenia jednostek organizacyjnych, powoływanie komisji problemowych itp. Wszystkie inne sprawy, a w szczególności organizacyjne, finansowe i administracyjne pozostawiono szerokiemu Senatowi. W jego skład mieliby wejść prorektorzy, kierownicy studiów stacjonarnych i zaocznych, dyrektorzy działów uczelni, a także sekretarz POP, przewodniczący związków zawodowych i organizacji studenckich. Do tzw. ścisłego Senatu należeliby natomiast: rektor i 3 dziekani (Wydz. Reżyserii, Operatorskiego i Aktorskiego) jako jedyni przedstawiciele administracji, oraz: 7 reprezentantów grupy samodzielnych pracowników nauki, 5 z grupy wykładowców i starszych wykładowców, 5 z grupy adiunktów, starszych asystentów i adiunktów oraz 10 przedstawicieli studentów.

Ten niewątpliwie śmiały projekt urzeczywistnienia idei demokratyzacji uczelni wykroczył jednak poza obowiązującą Ustawę o Szkolnictwie Wyższym. Zatwierdzenie go przez resort przed zmianą ustawy nie jest możliwe. Tak przynajmniej stwierdzili przedstawiciele MKiSz w czasie ostatnich rozmów 4.12, odrzucając również propozycję zawarcia tymczasowego porozumienia obowiązującego do chwili uchwalenia przez Sejm nowej ustawy.

Przerwanie rozmów i brak zdecydowanej, konstruktywnej inicjatywy ze strony MKiSz, wyczekującego — jak się zdaje — na koniec kadencji obecnych władz i wyboru nowych (w czerwcu 1981 r.), zaostrzyły tylko trudną sytuację w PWSFTviT. Pogłębiał ją w pierwszych dniach grudnia brak rektora, zmienny i kapryśny stosunek do spraw Szkoły Stowarzyszenia Filmowców Polskich, kontrowersje zarysowujące się między istniejącymi na uczelni organizacjami i grupami, nie zarejestrowanie NZS, wewnętrzne bolączki uczelni (jak ostatnio np. utrudniające prowadzenie zajęć niedogrzewanie budynków)... Wszystko to niebezpiecznie napinało atmosferę, przedłużało stan wyczekiwania i coraz bardziej odsuwało moment przejścia do dyskusji o STRUKTURACH do konkretyzowania PROGRAMU, z którego publicznym ujawnieniem nie śpieszyła się zresztą i grupa inicjatorów Ruchu Odnowy Uczelni (miało się to ponoć stać dopiero po zatwierdzeniu projektu struktur).

Wyrazem narastającej potrzeby zmiany tego stanu, przyspieszenia biegu wypadków, była decyzja o podjęciu akcji „Solidarnego Czekania". Uczestniczyła w niej ok. 80-osobowa grupa studentów z trzech wydziałów (wszystkich studentów jest w PWSFTviT 250), której towarzyszyła część młodszej kadry pedagogów, wchodzących w skład KOU, a związanych głównie z Warsztatem Formy Filmowej (jednocześnie trwały całodobowe dyżury członków POP i NSZZ „Solidarność"). Nad przebiegiem akcji, w tym nad zapewnieniem prawidłowego toku zajęć dydaktycznych i warunków bytowych (m.in. posiłków i noclegów na terenie Szkoły) czuwała ok. 30-osobowa grupa z Prezydium Komitetu „Solidarnego Czekania" na czele. Komitet zorganizował kilka dodatkowych wykładów i spotkań. Działało „Kino Solidarnego Czekania". W trakcie akcji zmieniły wygląd wnętrza głównego budynku Szkoły — rektoratu: na ścianach rozwieszano komunikaty i zdjęcia dokumentujące przebieg zdarzeń, różnego rodzaju prace graficzne, rysunki, teksty (również żartobliwe). Dołączyły się one do tych napisów, haseł i transparentów, które pojawiają się na murach Szkoły od początku października. Podczas „Solidarnego Czekania" Biuro Prasowe ogłosiło też nazwiska studentów, przygotowujących filmy poświęcone Ruchowi Odnowy Uczelni i samej akcji, a także problemom włókniarzy, ruchu związkowego, Pomnikowi Poległych Stoczniowców i Annie Walentynowicz.

8 grudnia odbyło się na terenie Szkoły posiedzenie Ogólnopolskiego Komitetu Założycielskiego Niezależnego Zrzeszenia Studentów na temat m.in. rejestracji NZS i nowej ustawy o szkolnictwie wyższym. Dla przebiegu „Solidarnego Czekania" decydujący okazał się jednak dopiero 10 grudnia, kiedy to zebrały się Komisja Odnowy Uczelni i Senat Elekcyjny. Po 7-godzinnych obradach Senat dokonał wyboru nowego rektora. Został nim doc. dr hab. Roman Wajdowicz, związany ze Szkołą Filmową od 1953 r. Pełnił on tu już m.in. funkcje prorektora i prodziekana Wydz. Operatorskiego, a ostatnio aktywnie uczestniczył w pracach KOU. Kontrkandydatami byli J. Bossak i J. Robakowski.

W związku z tą nową okolicznością Komitet „Solidarnego Czekania" postanowił zakończyć trwającą od 4.12, akcję protestacyjną, „w pełni — jak stwierdza ostatni komunikat organizatorów „Solidarnego Czekania" — ufając nowemu rektorowi w jego działaniach zmierzających do demokratyzacji i autonomii uczelni".

Nowy rektor znalazł się w niezwykle złożonej sytuacji, którą zapewne jeszcze dodatkowo skomplikuje fakt, iż elekcja ujawniła wyraźniej zaznaczające się teraz linie podziału wewnątrz samej uczelni. Nazajutrz po wyborze rektora odbyło się otwarte zebranie Podstawowej Organizacji Partyjnej PWSFTviT, podczas której odczytano list dwudziestu pedagogów (w tym samodzielnych pracowników nauki — członków Stowarzyszenia Filmowców Polskich — reżyserów i operatorów filmu fabularnego i dokumentalnego). Sygnatariusze listu podkreślili inny punkt widzenia w sprawie przyszłych struktur uczelni, postulując stworzenie jednego, skromniejszego liczebnie (co zapewniałoby mu operatywność) i łączącego władzę ustawodawczą z wykonawczą Senatu.

Nowe kierownictwo uczelni będzie więc musiało nie tylko w szybkim czasie doprowadzić do porozumienia między KOU a władzami resortu, ale dążyć do łagodzenia kontrowersji w łonie Szkoły. Będzie to musiało w praktyce oznaczać stworzenie w przyszłym modelu Szkoły płaszczyzny dla współistnienia i godzenia różnych programów ideowo-artystycznych i dydaktycznych. Zarówno więc tych np., które już teraz rodzą się na Wydziale Reżyserii Filmowej i Telewizyjnej, jak i dla bardziej radykalnych koncepcji, wywodzących się głównie z kręgu Warsztatu Formy Filmowej (walczącego o rozszerzenie w Szkole miejsca dla nowych metod i teorii twórczych, powstających na pograniczu filmu, fotografiki, plastyki i działań parateatralnych). Rozstrzygnięcie tkwi więc nie tyle chyba w strukturze uczelni, co w jej programie, zapewniającym tolerancję i warunki rozwoju dla różnych prądów i tendencji, a także w działaniach zmierzających do nadania większej samodzielności wszystkim rozwijającym się w tym kierunku grupom i strukturom (jak choćby wspomniany Warsztat czy Wydział Aktorski).

15 grudnia 1980.

Z DZIEJÓW ŁÓDZKIEGO ŚRODOWISKA PISARSKIEGO

Dalszy ciąg ze str. 1

nie potrafili wytworzyć ni trwałego, ni w miarę silnego środowiska. Brakowało bowiem szerszego zaplecza wykształconej, obytej intelektualnie publiczności literackiej.

Opinia o kuluralnym zaniedbaniu Łodzi przetrwała również w dwudziestoleciu międzywojennym. Drugie co do wielkości miasto Rzeczypospolitej nie mogło nawet zdobyć się na posiadanie wyższej uczelni (dopiero w połowie okresu międzywojennego powołano po licznych przetargach oddział Wolnej Wszechnicy Polskiej.) Charakterystyczne są reakcje na sytuację kulturalną miasta w publikacjach książkowych z przełomu lat dwudziestych i trzydziestych. I tak **Andrzej Zand** w książce **„Łódź"** (wyszła ona w przeznaczonym dla młodzieży szkolnej cyklu „Miasta polskie") pominął kompletnym milczeniem ową sytuację, zaś **Zygmunt Nowakowski** w satyrycznym zbiorze **„Geografia serdeczna"** poświęcił miastu dwa felietony, w których uśmiech przezwyciężony został przez melancholię i uzupełniony złośliwą informacją na wzór Baedeckera, że **„podróżni udający się do Łodzi, powinni zaopatrzyć się w rozmówki łódzko-polskie pt.: „Polak w Łodzi". Najlepiej jednak zrobią, jeśli nie przyjadą wcale"**. Jeden z socjologów porównał dane ilustrujące korzystanie w okresie międzywojennym z instytucji kulturalnych w Łodzi z odpowiednimi danymi odnoszącymi się do Warszawy, Krakowa, Poznania, a więc miast uchodzących w opinii społecznej za kulturalne i stwierdził, iż tylko w przypadku korzystania z instytucji o charakterze masowym — kina — Łódź znajdowała się wówczas na poczesnym miejscu.

Życie kulturalne Łodzi ulegało wszakże stałemu, choć zbyt może powolnemu, rozwojowi. Założono Bibliotekę Publiczną, rozwinęła się działalność wydawnicza, zarówno literacka, jak i historyczna, przyrodnicza czy greograficzna. Pewne ożywienie kulturalne spowodowała ufundowana w 1926 roku Nagroda Literacka miasta Łodzi. Przyznawana wybitnym i zasłużonym dla narodowego dorobku twórcom podnosiła prestiż miasta. Otrzymali ją kolejno: **Aleksander Świętochowski, Julian Tuwim, Zofia Nałkowska, Aleksander Bruckner i Andrzej Strug.**

Kultura w Łodzi rozwijała się inaczej niż w innych ośrodkach, wynikała z charakteru robotniczego miasta. Specyficzny klimat społeczny sprawiał, że powstająca tu literatura w przeważającej większości zdeterminowana była swoim społecznym rodowodem. Rzutowało to na przykład bardzo wyraźnie na poczynania **„Meteora"** — pierwszego poetyckiego ugrupowania w Łodzi. Grupa ta (założona przez **Mariana Piechala, Kazimierza Sowińskiego i Grzegorza Timofiejewa)** wychodziła naprzeciw kulturalnemu zapotrzebowaniu mieszkańców miasta nie tylko w zakresie problematyki twórczości artystycznej, ale również w rozwijaniu bezpośrednich kontaktów z czytelnikami. Jej członkowie świadomie nawiązywali do sporadycznych dotąd wysiłków swych literackich poprzedników na terenie Łodzi, stawiając literaturze, to znaczy nade wszystko własnej twórczości, nie do końca zresztą sprecyzowane zadania służby społecznej. Problematyka społeczna, nierzadko i polityczna, widoczna jest w utworach **Witolda Wandurskiego, Antoniego Kasprowicza, Mieczysława Jastruna, Jerzego Zawieyskiego, Mieczysława Brauna, Rafała Lena, Władysława Pawlaka.** Widoczna jest również na łamach **„Prądów"** i **„Wymiarów"**.

Ale i w dwudziestoleciu nie udało się wytworzyć w fabrycznym mieście środowiska literackiego w pełnym tego słowa rozumieniu. Wspomniany już **Ludwik Stolarzewicz** opublikował w połowie lat trzydziestych antologię rejestrującą utwory o Łodzi i w Łodzi powstałe. Spory to zbiór, lecz przecież w praktyce dnia codziennego zabrakło owych cech życia literackiego, które decydują o powstaniu i rozwoju środowiska.

II

Istotną cenzurę w dziejach literatury w Łodzi stanowi rok 1945. Wagę jego wyznacza wyzwolenie kraju spod hitlerowskiej okupacji i związana z tym wyjątkowa rola „miasta proletariuszów", gdy przyszło mu na krótko zastąpić w życiu narodu zburzoną stolicę oraz instytucjonalne usankcjonowanie błyskawicznie powstałego środowiska poprzez powołanie jesienią tegoż roku oddziału **Związku Zawodowego Literatów Polskich.** A było to środowisko potężne — ponad stu pełnoprawnych członków związku i pewnie drugie tyle osób o mniej lub bardziej sprawdzonych literackich aspiracjach. Jakże ważny był fakt, iż literaci od samego początku mieli gdzie mieszkać i mieli gdzie publikować! Jakże ważna była atmosfera powszechnego zainteresowania, jaka towarzyszyła ich publikacjom i rozmaitym wystąpieniom. Z jaką dokładnością informowała ówczesna prasa o porankach literackich, o spotkaniach z robotnikami, o powstawaniu najprzeróżniejszych klubów literackich. Do dziś przetrwała legenda, jak to **Leon Pasternak** w mundurze oficera Wojska Polskiego zdobywał siedziby dla pisarzy (w tym i dzisiejszą siedzibę oddziału Związku Literatów Polskich przy ulicy Mickiewicza 15). Redagowaną przez **Stefana Żółkiewskiego „Kuźnicę"** oraz redagowaną przez **Jana Aleksandra Króla „Wieś"** wystarczy w tym miejscu przywołać jedynie na zasadzie haseł — ich rola w życiu literackim bezpośrednio po wojnie jest wystarczająco znana. Podobnie można przypomnieć wydawnictwa: **„Czytelnik"**, oficynę PPR **„Książkę"**, oficynę PPS **„Wiedzę"** i inne. Nie można też nie zatęsknić w tym miejscu za kawiarnią literacką z prawdziwego zdarzenia — pamiętną **„Fraszką"** przy Piotrkowskiej 96 czy też **„Klubem Pickwicka"**. Trudno zresztą oddać w kilku zdaniach ówczesną atmosferę i specyfikę życia literackiego. Zainteresowanych wypadnie odesłać do wspomnień opublikowanych w zbiorowym tomie **„Tranzytem przez Łódź"**, czy też zapisów poszczególnych autorów w rodzaju **„Wspominków nie zawsze frasobliwych" Jana Huszczy, „Chwalipięty" Jana Sztaudyngera i Anny Sztaudynger-Kaliszewicz** oraz innych.

Istnienie środowiska literackiego, konkretne i wymierne, konieczne jest dla specyficznego odziaływania pisarzy na społeczeństwo, pomaga w wypełnianiu społecznej funkcji literatury, uzupełnia i niejako przedłuża kontakt czytelnika z dorobkiem drukowanym w książkach i w prasie. Wzajemne oddziaływanie otoczenia i środowiska literackiego polega między innymi na wymianie bodźców emocjonalnych i intelektualnych, na inspiracji tematycznej, na artystycznym opracowywaniu postulatów zgłaszanych przez najbliższych (przynajmniej terytorialnie) odbiorców literatury. Ze względów organizacyjnych w kontaktach owych pośredniczą często rozmaite instytucje — organizatorzy konkursów o tematyce najbardzeij potrzebnej i typowowej dla danego okresu. Ten rodzaj działalności wyraźnie ożywiał życie literackie i owocował niebagatelnymi utworami (wystarczy wspomnieć pamiętny, wyjątkowo udany, konkurs Wydawnictwa Łódzkiego z 1958 roku, konkurs im. Władysława Reymonta, konkurs na powieść z życia włókniarzy i inne).

Czas, w którym Łódź pełniła rolę kulturalnej stolicy kraju — od zakończenia wojny aż po rok 1949, rok szczecińskiego zjazdu ZLP, na którym wprowadzono oficjalnie realizm socjalistyczny jako jedyną obowiązującą metodę twórczą — zaznacza się w pamięci historyka literatury nazwiskami między innymi **Zofii Nałkowskiej, Poli Gojawiczyńskiej, Władysława Broniewskiego, Kazimierza Brandysa, Anny Kamieńskiej, Seweryny Szmaglewskiej, Adama Ważyka, Stanisława Piętaka, Adolfa Rudnickiego, Artura Sandauera.** Po krótkotrwałym, lecz jakże wyrazistym, ożywieniu rozpoczął się exodus instytucji i ludzi do powstającej z ruin Warszawy. Niewiele trzeba było miesięcy, by w Łodzi nie pozostało ani jedno wydawnictwo, ani jedno pismo, by liczba literatów spadła o ponad połowę. Powstało wtedy dotkliwie nieprzyjemne i rzutujące na lata późniejsze wrażenie pustki. A przecież po niedługim już czasie poczęła się Łódź kulturalna dźwigać i dorabiać. Symptomami tych lat stały się kolejne pisma: od efemerycznej **„Łodzi Literackiej"**, poprzez **„Kronikę"** po ukazujące się nieprzerwanie od 1958 roku **„Odgłosy"**, a także almanachy: **„Rzecz Poetycka" i „Osnowa"**. Ważną rolę odegrało i odgrywa nadal powstałe w 1957 roku **Wydawnictwo Łódzkie**, które bez mała trzy czwarte swego dorobku zawdzięcza piórom łódzkiego środowiska literackiego.

W marcu 1946 roku na posiedzeniu Miejskiej Rady Narodowej uchwalono nowy statut **literackiej nagrody miasta Łodzi**. Przewidywał on coroczne przyznawanie nagrody przedstawicielowi literatury polskiej, którego twórczość związana jest z Łodzią. Nagroda przyznawana jest corocznie 19 stycznia czyli w rocznicę wyzwolenia miasta. W praktyce okazało się jednak, iż nie każdego roku literaci ją otrzymywali. Zaś w gronie laureatów znaleźli się między innymi: **Marian Piechal, Stanisław Czernik, Władysław Rymkiewicz, Leon Gomolicki, Jan Koprowski, Wiesław Jażdżyński, Igor Sikirycki, Antoni Kasprowicz, Wanda Karczewska, Wacław Biliński, Tadeusz Chróścielewski, Bernard Sztajnert.** Skoro już o laurach mowa — to trzeba odnotować, że przedstawiciele środowiska łódzkiego wyróżniani byli rozmaitymi nagrodami: nagrodą państwową **(Marian Piechal i Leon Gomolicki)**, nagrodą Ministra Kultury i Sztuki **(Wacław Biliński, Jerzy Wawrzak, Władysław Rymkiewicz)**, nagrodą literacką Ministra Obrony Narodowej **(Wacław Biliński)**, nagrodą im. Włodzimierza Pietrzaka **(Maciej J. Kononowicz)**, nagrodą Centralnej Rady Związków Zawodowych **(Jerzy Wawrzak)**. W minionym trzydziestopięcioleciu nagrodami odznaczona została trzecia część pisarzy zrzeszonych w Łódzkim Oddziale ZLP.

Przebywający w Łodzi ludzie pióra nie wytworzyli jakiejś odrębnej szkoły literackiej, nie wnoszą gromadnie przełomowych czy nowatorskich propozycji artystycznych, jedynym istotnym wyróżnikiem pozostaje więc po prostu wyróżnik formalny — fakt zamieszkania w Łodzi (nawet nie urodzenia, jako że znaczna część twórców przybyła tu z bogatym już doświadczeniem życiowym, nieraz i twórczym, w przemysłowym mieście kończąc swą odyseję). Mamy więc do czynienia ze środowiskiem zintegrowanym przede wszystkim organizacyjnie, wspólnym mianownikiem jest przynależność do tego samego oddziału Związku Literatów Polskich. Z faktu przebywania w Łodzi wynika niekiedy specyfika tematyczna, funkcjonująca również na zasadzie wykorzystywania realiów. Tak zwana „łódzkość" pisarza (z której notabene niejednokrotnie starano się uczynić swego rodzaju fetysz) o niczym w gruncie rzeczy nie rozstrzyga, liczą się przecież i tak w pierwszym rzędzie dokonania indywidualne, z których dopiero wyłania się obraz środowiska czy wizja okresu historycznoliterackiego.

Aktywność twórcza środowiska łódzkiego wyraża się zasadniczo w prozie i w poezji, także w przekładach, znacznie skromniej w dramacie i jeszcze skromniej w krytyce literackiej. Obrazu jej twórczości nie da się, rzecz prosta, zamknąć w gotowych formułach i schematach, najogólniejszy jednak ogląd pozwala wyodrębnić kilka obszarów najczęściej odwiedzanych.

A więc w prozie tradycyjny temat rozrachunku z wojną i okupacją oraz ich wpływu na sytuacje i postawy w życiu późniejszym. Sprawy owe ujmowane są rozmaicie, od konkretnych opisów batalistycznych, poprzez ujęcia pamiętnikarskie i dokumentalne, spojrzenia paraboliczne i filozoficzne, po ujęcia moralistyczne, różnego rodzaju „torturowanie pamięci". Problematyka wojenna to nie tylko interpretacja konkretnego okresu dziejów, ale również poszukiwanie wymowy uniwersalnej. Blisko stąd do prób określania głębokich źródeł człowieczeństwa, blisko do refleksji nad niebanalnością i całą złożonością istnienia. Najobficiej reprezentowana jest współczesna problematyka obyczajowa, przewijająca się w rozmaitych aspektach przez powieści i opowiadania większości twórców. Dostarczają oni nowych wersji odwiecznego tematu miłości, tropią nowoczesne wcielenia dulszczyzny, żegnają odchodzący świat, próbują odpowiadać na zasadnicze pytania epoki (czy też, jak mawiał Melchior Wańkowicz, podepoki). Prezentują różnorodne postawy i wybory życiowe. Penetrują wszelkie środowiska, nie stroniąc i od marginesu społecznego, co wyraża między innymi tęsknoty do odkonwencjonalizowania życia. Uprawiają nawet coraz rzadsze we współczesnej literaturze sagi rodzinne. Proza autorów łódzkich komentuje też sprawy pracy i władzy, czyni wycieczki w świat sztuki, dokonuje oglądu przeszłości.

Tradycyjnie już po wojnie jest Łódź silnym ośrodkiem poetyckim, i to nie tylko z racji organizowania **Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji** oraz **Łódzkiej Wiosny Poetyckiej**. Odnotować trzeba szereg inicjatyw w dążeniu do grupowego wypowiadania artystycznego „credo", od głośnej swego czasu publikacji **„Różnie idąc"**, poprzez **Klub Łódzkich Aktywistów Poezji, Piąte Koło, Prowincję 58** aż po ugrupowania **„Centrum"** czy **„Metro"** (nie licząc oczywiście przeróżnych jednodniówek). Spośród tendencji najczęściej występujących wspomnijmy ujęcia klasycyzujące, twórczość prezentującą „uroki spraw świeżych", to jest odkrywanie świata na nowo, zachłystywanie się nim, wciąż żywotne inspiracje poezji proletariackiej oraz Czernikowego autentyzmu, oddziaływanie wreszcie poezji anglosaskiej, francuskiej i radzieckiej. Czytelnikowi pragnącemu dokładnie przyjrzeć się temu stanowi wypadnie polecić ostatnie wydanie **„Rzeczy Poetyckiej"** zatytułowanej **„Środowisko"**.

Niewielu autorów zwraca się w stronę dramatu i krytyki teatralnej. Zastanawia to o tyle, że Łódź stanowi przecież tradycyjnie silny ośrodek teatralny, który winien być dla pisarzy tym dodatkowym bodźcem, jakiego pozbawione są zazwyczaj mniejsze skupiska literatów.

Pokaźna liczba pisarzy zajmuje się twórczością dla dzieci i młodzieży.

Wiele też zasług położyli przedstawiciele Łodzi literackiej w dziedzinie przyswajania czytelnikowi polskiemu wybitnych dzieł literatur obcych (przede wszystkim z zakresu literatur narodów Związku Radzieckiego).

Specyfiką życia literackiego w naszym kraju jest od lat wysoki poziom felietonistyki. Środowisko łódzkie dysponuje w tej dziedzinie wypróbowanymi piórami, choć zbyt często może felieton literacki staje się zwykłą interwencją, zastępującą inne gatunki dziennikarskie. Znacznym powodzeniem cieszy się reportaż. Dobrej sławy zażywają też satyrycy.

Dzieje łódzkiego środowiska literackiego to istotny fragment dziejów literatury polskiej. Co pewien czas czyni się próby ich uporządkowania: Miejska Biblioteka Publiczna im. L. Waryńskiego opublikowała przewodnik bibliograficzny pt.: **„Pisarze Łodzi i ich książki 1945—1974"**, w latach 1974—1975 **„Odgłosy"** drukowały **„Słownik pisarzy łódzkich"**, sporadycznie — przeważnie z jubileuszowych okazji — pojawiają się artykuły syntetyczne i wspomnienia. **Dom Środowisk Twórczych** organizował imprezy pod nazwą **„Czwartki literackie"**, na których prezentowano sylwetki wielu twórców, podobną akcję informacyjną przeprowadzano w siedzibie oddziału ZLP.

Łódzki Oddział Związku Literatów Polskich zajmuje trzecie (po Warszawie i Krakowie) miejsce w kraju pod względem ilości zrzeszonych członków. Jest to więc potencjał poważny, pozwalający wierzyć, iż środowisko łódzkie coraz wyraźniej zaznaczać będzie swą obecność w literaturze.

Znany socjolog, profesor **Jan Szczepański**, kreśląc przed laty uwagi o środowisku pisarskim Łodzi, stwierdzał, że **„atmosfera twórcza nie jest wynikiem działania władz czy urzędów, lecz jest emanacją tego, co sami twórcy mają do powiedzenia, jest pochodną ich zmagań z problemami, które chcą rozwiązać, ich dążeń do znalezienia wyrazu dla niepokoju, jaki ich ogarnia wobec spraw epoki, w której żyją"**. Słowa te nic nie straciły na znaczeniu.

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

CZŁOWIEK I PRACA

Człowiek i praca — to brzmi tak jak — człowiek i życie. Socjologowie dawno już obliczyli, że praca wypełnia największą i najbardziej istotną część ludzkiego życia. W całym splocie problemów społecznych i gospodarczych praca ludzka zajmuje współcześnie pozycję kluczową i wyjątkową.

Dzięki pracy ludzkiej przeobrażana jest natura, czy w ogóle świat nas otaczający. W pracy człowiek znajduje — albo powinien znajdować — sens i radość życia.

Refleksje te znalazłem w szkicu **Zenona Komendera „Praca ludzka"** — szkicu otwierającym wydaną przez PAX książkę, będącą próbą wszechstronnego ujęcia problematyki pracy. Szkice te zrodziły się z czysto teoretycznych pasji, ciekawości i dociekliwości ludzkiej, jak i z pobudek praktycznych; przyczynić się miały do jak najwłaściwszego rozwiązania całości stosunków związanych z pracą w naszym polskim życiu społecznym, którego fundamentem jest człowiek-pracownik.

Książka zawiera trzynaście szkiców — m. in. **Antoniego Kaplińskiego, Mariana Filipiaka, Mieczysława Tazbira, Jana Wojciechowskiego, Jerzego Gałkowskiego, Władysława Piwowarskiego** oraz **Józefa Wołkowskiego**, który ów tom zredagował.

Oczywiście nie sposób zaprezentować wszystkie aspekty ludzkiej pracy zanalizowane w tym ponad 300-stronicowym dziele. Myślę jednak, że warto zwrócić uwagę przynajmniej na dwa eseje — **Józefa Wołkowskiego i Jana Wojciechowskiego.**

Wołkowski zajmuje się filozofią pracy jako płaszczyzną dialogu chrześcijan i marksistów. Pisze: **„Wiąże myśl chrześcijańską i marksistowską przekonanie, że motywacja do pracy oderwana od przesłanek światopoglądowych byłaby humanistycznie okaleczona. Zgodnie wreszcie z inspiracją wyznawanego światopoglądu chrześcijanie wspólnie z marksistami poczuwają się do obowiązku kształtowania w różnorodny sposób pozytywnych postaw pracowniczych. Zakreśla to ważny obszar praktycznego współdziałania chrześcijan i marksistów, a także obszar społecznej weryfikacji postaw i wszelkich motywujących je przekonań, które kształtują w Polsce wspólny socjalistyczny etos pracy".**

Jan Wojciechowski natomiast zajmuje się w swoim eseju podstawowymi założeniami humanizacji i polityki pracy. Autor wychodzi w swoich rozważaniach od encykliki papieża Jana XXIII, która podkreślała bardzo mocno problem świadomego uczestnictwa w procesie pracy przez współdziałanie i współzarządzanie środkami produkcji — oraz problem godnych człowieka warunków pracy.

Jak widać i w tym względzie występuje całkowita zbieżność poglądów marksistów i chrześcijan. Trudno się również nie zgodzić ze stwierdzeniem Jana Wojciechowskiego, że dotychczasowy system nauczania zawodowego nie jest odpowiednikiem polityki pracy, lecz jedynie polityki zatrudnienia. Różnica między tymi dwoma pojęciami jest niezwykle istotna. W wyniku prawidłowej polityki pracy — praca daje zadowolenie, pozwala człowiekowi utożsamiać się z nią — a nie tylko wykonywać narzucone obowiązki.

Zbiór esejów wydawnictwa PAX jest bardzo ważkim głosem w dyskusji na temat kształtowania właściwych stosunków społecznych — na temat rozwijania osobowości człowieka w procesie pracy. Książka godna jest polecenia wszystkim, których interesują złożone problemy społeczne.

JERZY WILMAŃSKI

„Człowiek i praca". Studia i szkice pod redakcją Józefa Wołkowskiego, Wyd. PAX. Cena 40 zł.

FELIKS RAJCZAK

* * *

Zachód słońca jest przyszłością
która wyprzedziła mnie
skulonego w szumie wierzby
rozsiadłej na progu wsi

Patrzę w zorzę porudziałą
jakbym ujrzeć siebie chciał
w czasie jasnym i dalekim
który będzie wiecznie trwał
gdzie nie będzie wiatr już wiał
na brzegu sądnego dnia

SZKIC PAŹDZIERNIKOWY

Wiatry odwracają chmury
i ukazuje się błękitny jar
na którego dnie
spoczął miedziany księżyc

Przesuwa się ziemia
w westchnieniu nocy
ku fioletowej gwieździe
na krańcach snu

NAD CEGŁĄ Z SIERADZKIEJ KOLEGIATY

O cegło krucha! mur kolegiaty
Wznosząca, któż cię kładł na kamieniu,
Jakie miał zyski i jakie straty
Poniósł — i jaki krzyż na ramieniu?

Jest cały w prochu z drewna i kości.
Kołpakiem wieży kłania się nawsząd —
Tamtym spod boru, z monickich włości,
Tym, co w zaułkach maskami straszą.

W sieradzkie ścieżki wsiąkła posoka.
Zbiegły się tutaj pany i kmiecie.
Patrzcie z doliny, myślcie z wysoka:
To oni milczą — tym, co powiecie.

STARA KULTURA ROLNA

Stara kultura rolna
mułem na mozole
na twarzy i murze

Stara kultura rolna
pod prochem sochy
soczewicy i prosa

Stara kultura rolna
pozdrawia cywilizację
i chłopca w atomowej koronie

* * *

Ostatnia ryba płynie rzeką
i za nią dno się zwija
fala przelewa się przez grzbiet
i światło w cieniu mija

I krajobrazy bez imienia
i dzwon kamienny w ciszy
łąki białych szkieletów stąd
bezdroża wzgórz i nizin

Jeśli ocalisz w tej przestrzeni
słowo i znak mi podasz
z martwych przeszłego świata ust
wytryśnie życia woda

Litografia 1979 r. „Sen" J. Michulec

JAROSŁAW WARZECHA

Reinkarnacja

Nie goliłem się trzy dni. Muszę przecież jakoś uprawdopodobnić to moje wejście.

Ulica przy rynku. Jest. Otwieram drzwi. Pusto i okropny zapach. Mistrz stoi w białym kitlu. Mruk. Nie, to nie ten.

— *Przyjdę za chwilę.*

— *Proszę.*

Szukam innego. Jest. Pięćdziesiąt metrów dalej. Zapach taki sam, ale kilku klientów czeka w kolejce. Jeden śpi rozwalony łokciami na okrągłym stoliku. Mistrz z dużym, pięknie fioletowym nosem. Drepczce dookoła fotela i gada... gada... gada... Dobry. Bardzo dobry!!!

— *Mogę się u pana ogolić?*

— *Może pan. Proszę bardzo.*

Siadam przy piecu. Chwila ciszy. Przerwałem im. Ja, nowy, nie wiadomo kto.

Z radia Niemen. Jakby na życzenie Mistrz zaczyna sam. W moją stronę.

— *Niemen? Nic mnie nie mówi to nazwisko.*

— *Dlaczego?*

— *Bo mnie mówi Michał Anioł, inni tam. Picasso — to jest dla mnie nic nie znaczący człowiek. Jak on kobietę rozebrał i kazał się jej kilka razy po płótnie przewrócić... I to jest artysta świata? A Niemen, panie, to u nas, w S, na łęgu może tylko małpy z prosa wyganiać! O! Ave Maria Szuberta, Gounoda Fausta...*

Zacukał się, nie jest pewny czy to ów Gounoda napisał Fausta, czy Faust tego „Gunodę", ale milczę więc kończy.

— *O, na ten temat możemy rozmawiać!*

Ale ja nie chcę rozmawiać na ten temat, tylko na całkiem inny.

— *On znał Picassa* — mówię, choć nie wiem czy znał, ale oni też nie wiedzą. Dla nich, to on znał Rockefellera i króla angielskiego. Dla nich On był pierwszym i ostatnim facetem z filmu o milionerach jakiego widzieli w S. żywego, prawdziwego. Więc i Picassa nie kwestionują.

— *Pan pamięta, między Ł. a S. był taki turniej miast.* — Mistrz mówi tak jakbym nie mógł nie pamiętać ale ja nie pamiętam. Naprawdę.

— *Mieliśmy czesać pod jego batutą* — ciągnie Mistrz. *Skąd on wziął tę batutę?*

— *Ja tam nie lubię słów na wiatr* — kładzie nożyczki i chwilę grzebie w szufladzie. Jest. Stary numer „Filmu". Wyświechtany, wymięty przez wiele rąk. Wyoglądany.

— *To ja. Akurat Go witam.*

— *O, ta ze sklepu* — zagląda przez ramię klient.

— *On miał też czesać, ale fryzura mu nie wyszła. To wiesz pan co zrobił, wiesz pan?* — Mistrz robi małą przerwę. Jak w teatrze. Skąd on wie, że tak trzeba zagrać?

— *Co, co zrobił?*

— *Miał w kuble kapelusze, takie wielkie, sombolero, czy jak tam, no takie jak Hiszpanie noszą. Wyjął i każdej nałożył taki kapelusz. Tak. I to był ten wielki?*

Mistrz sapie z oburzenia. Ile razy tak się już oburzał? Sto, dwieście, może tysiąc?

— *Myśmy mu urządzili bankiet w cechu. Powiem szczerze — chcieliśmy od niego coś wydobyć. To nawet się do książki nie wpisał. Ale on już nic nie miał. Na swoją Emmę przepisał.*

— *Ludzie mówili, że w trumnie spał* — wtrąca klient.

— *Nieprawda, panie, nieprawda* — prostuje Mistrz — *Parę razy żeśmy tam byli Owszem miał zdjęcia takie, wie pan jak się nazywają* — mruga do mnie. Pewnie, że wiem. Mistrz rozkłada szeroko ręce. — *Ale to było formatu jak lustro. I w kolorach!!! Jak to można było wykonać?* — zachwyt Mistrza jest szczery. Kiedy Mistrz się zachwyca, rozwalony na stoliku klient zsuwa się z krzesła. Gmera niemrawo na podłodze nieskładnymi nogami. Pomagają mu wstać.

— *Józiu, Józiu, co ty robisz* — napomina Mistrz z wyrozumiałym uśmieszkiem.

* * *

Przejeżdżałem wtedy przez S. i postanowiłem przy okazji wstąpić do Niego. Był miejscową sensacją. Może nawet nie tylko miejscową. Król, chociażby fryzjerów, to już jest coś. Paryż, Londyn. Nowy Jork, Hollywood — filmowe gwiazdy, malarze, poeci, wielkie pieniądze, z pucybuta — milioner. I jeszcze żył! A przecież to wszystko zaczęło się tak dawno, tak niewyobrażalnie dawno. Kiedy kończyła się pierwsza wojna światowa miał trzydzieści lat. Za sobą pierwszą młodość i piętnaście lat stania nad damskimi głowami — muskania, poprawiania, głaskania, zabawiania, uśmiechania się, kłaniania, przymilania — fryzjerowania. Był już wtedy w Paryżu i już zaczynał być kimś. A może to dzisiaj tak mu się zdaje? W każdym razie — był.

Pierwszego napotkanego spytałem gdzie mieszka. Pokazał, wiedział. Każdy tu wiedział. Przy wale przeciwpowodziowym, w podmokłej dolince, w bielonej wapnem drewnianej chacie. Naprzeciw chaty stała duża stodoła na podmurówce. Wszystko to otoczone drewnianym płotem z bramą. Tuż za bramą, na dwóch żerdziach flagi — francuska i polska.

Przekroczyłem bramę i jednocześnie ktoś wyszedł z domu. Szedł w moją stronę — młody mężczyzna w workowatych spodniach. Ręce miał duże i ciężkie. Ręce pracujących w ziemi.

— *Jest?* — zawahałem się czy użyć samego pseudonimu, pod którym był znany na szerokim świecie, czy normalnie, imienia i nazwiska.

— *Jest. Spytam się czy pana przyjmie.*

Czekałem może pięć minut.

— *Przyjmie za chwilę.*

Pokój, a raczej izba była duża, z belkowanym sufitem. W jednej ścianie trzy okna, pod drugą wielki, dębowy stół i dwadzieścia cztery dębowe krzesła z wysokimi oparciami. Na sztalugach dwa obrazy. On, siedział w zacienionym kącie, przy ścianie z oknami. Na oczach miał czarną, celuloidową elastyczną przepaskę. Ubrany w czerwony dres i białe kalosze przypominał wielkiego krasnoludka.

Wyciągnął rękę — *Światło mi szkodzi, męczy mnie* — rękę miał miękką, a na policzkach rumieńce małego, zdrowego, dobrze odżywionego bobasa Cudzoziemski akcent brzmiał jakby musiał o nim pamiętać, jakby musiał się starać nie mówić normalnie.

Chciałem z nim porozmawiać o Matissie. Czy się znali, czy zetknęli się kiedykolwiek Chciałem przybliżyć sobie postać starszego pana w nienagannie czystym kitlu, który malował swoją żonę przy niebieskim wazonie.

— *Och, poznaliśmy się, oczywiście. Oni byli fermee... zamknięci... tak... jego żona... bardzo piękna kobieta... ona miała jednego generała... Montparnasse... tam było dużo artystów. Dunikowski, to był artysta. On mówił, że ja powinienem rzeźbić. Ja powinienem być rzeźbiarzem. Przy nim robiłem nawet rzeźby. On patrzył na moje ręce i były dobre do rzeźby. Kiedyś, razem z Dunikowskim...*

— *Jaki był Matisse?*

— *Bardzo poprawny, starszy pan, bardzo grzeczny... za niego już płacili duże pieniądze (tak właśnie mówi — pieniądze)... Dunikowski ich nie cenił. Kiedyś byliśmy na wsi, z Dunikowskim i tam robiłem w glinie... Dunikowski nie lubił towarzystwa, ja musiałem go siłą przedstawiać... tak... miał grande personalite...*

Cisza po tym personalite, i jakby się nagle zmienił. Zdejmuje z oczu przepaskę, nachyla się w moją stronę — *Wie pan, wierzę w reinkarnację* — mówi prawie bez tego obcego akcentu. — *Wierzę i nie boję się śmierci. Człowiek staje się po prostu czym innym. Ja już mam osiemdziesiąt sześć lat. Tak.*

Siadamy przy stole. Dlaczego pan wrócił tu, do tego miasteczka, z którego wyjechał pan na długo przed pierwszą światową wojną? Po co? — chcę zadać to pytanie, ale On mnie uprzedza.

— *Żeby tam żyć, trzeba mieć dużo pieniędzy. Żeby się utrzymać na odpowiednim poziomie. Mnie już nie było na to stać. Wielki świat wiele kosztuje... wróciłem tu...*

A więc to takie proste. Żadnej mistyki słonia, żaden powrót do korzeni. Czy tak wygląda upadek milionera, pieszczocha salonów, ulubieńca losu? S. było małym, sennym miasteczkiem, z kozami, jeżeli nie na rynku to w uliczkach zaraz koło rynku, kiedy je opuszczał na początku wieku. S. jest dalej małym, sympatycznym miasteczkiem. On już zawsze będzie tutaj kimś z wielkiego świata. Z największego!!!

A gdyby został, tam w Paryżu. Przecież by żył, miałby co jeść, gdzie mieszkać, ktoś by go obsługiwał. Coś jeszcze zostało z dawnych zapasów...

Prowadzi mnie do stodoły naprzeciwko domu. Ganek z pięknych, jasnych, sosnowych desek. Wewnątrz przestronnie, sosnowo, jasno. Wielkie okno, którego nie widać od drogi, wychodzi na mały ogródek z fontanną. Duży, koncertowy fortepian, na nim stosy amerykańskich tygodników ilustrowanych, z lat czterdziestych i pięćdziesiątych.

— *Tu ja, tu też ja, i tu ja. Tu proponuję nowy rodzaj uczesania. To była rewelacja! Pięćdziesiąty czwarty rok!!!*

Wytworny na tych zdjęciach. Tamte panie i tamci panowie też. Film z wyższych sfer amerykańskich. Pięćdziesiąty czwarty rok. Rowery na talony. „Warszawa", słynny garbus? Już chyba jeździła Co się budowało? Cały naród budował stolicę. To pewne. Co jeszcze... Nie, nie pamiętam, miałem dopiero siedem lat.

Za fortepianem manekin — damska głowa. Fryzura z błyszczących metalizowanych wstążek. — Tak sobie próbuję na wzór Wenus Boticcellego.

Rzeczywiście. Wenus z piany morskiej wyłoniła się!!!

* * *

Pan M. zetknął się z nim pierwszy. To był początek sześćdziesiątego siódmego. Pojechali do Warszawy razem z przewodniczącym, jako przedstawiciele władz miasta. Wieźli podarunki — ludowy kilim i wielką lalkę w stroju ludowym z okolic S.

On przyjął ich w swoim apartamencie w Hotelu Europejskim. Wyszedł ubrany w czerwony frak z ozdobnymi złoceniami. Wielki i sławny. Byli przejęci. Wręczyli podarunki. On wyjął z wewnętrznej kieszeni fraka swoje kolorowe zdjęcie formatu pocztówkowego, podpisał na wierzchu srebrnym Watermanem i wręczył im.

Trzyosobowy bankiet odbył się w apartamencie. Było elegancko. On cały czas mówił, okazywał wiele serdeczności, do przewodniczącego uparcie zwracał się „panie burmistrzu". Ręce miał w nieustannym ruchu — nawyk zawodowy.

W pewnej chwili z kieszeni na piersiach wyjął mały, złoty pion na złotym łańcuszku, taki sam jakie mają murarze, tylko mały Wziął dłoń przewodniczącego i zaczął wróżyć. Atmosfera zrobiła się niemal rodzinna — najlepsza do mówienia o sprawach miasta. Tak, zamierza coś zrobić dla swojego rodzinnego S. Wybuduje w ruinach starego zamku „Gniazdo Orłów". To będzie ośrodek kultury i sztuki, miejsce spotkań artystów. Kto wie, może artystów z całego świata.

Do budowy włączy się środowisko polonijne oraz znane osobistości, z którymi On pozostaje w bliskich stosunkach.

Miał nawet pierwsze rysunki — ogromna bryła z betonu i żelaza. Jakby wielki, szary bunkier.

Później, kiedy już mieszkał w S. i został honorowym członkiem Towarzystwa Przyjaciół S., przekazał na budowę Gniazda 1200 dolarów. Towarzystwo wydrukowało w jego imieniu uroczysty list na specjalnym papierze, z prośbą o udział w budowie Gniazda. Z jego własnoręcznym podpisem listy poszły w świat, do znanych osobistości kultury i sztuki. Ale świat nie odpowiedział. Tylko fryzjerzy z S. i z Ł. wpłacili na konto budowy parę tysięcy złotych.

Kiedy zapraszano Go na zebrania Towarzystwa Przyjaciół S. mówił — *No, trzeba się brać do roboty. Ja też mogę wziąć łopatę.*

Mimo tysiąca dwustu dolarów, paru tysięcy złotych i chęci do łopaty, Gniazdo Orłów pozostało do dzisiaj tylko pomysłem.

Podobno z kilimu ludowego, który dostał wtedy, w Hotelu Europejskim, uszył sobie ni to frak, ni sukmanę i przez kilka lat pokazywał się w tym w różnych miejscach.

Stanowczo lubił ekscentryczne stroje.

* * *

Przed wojną jeździł po Paryżu samochodem własnego projektu. Fioletowa karoseria składała się z dużych kwadratów. — *Brakuje mu tylko kwadratowych kół* — powiedział Maurice Chevalier.

* * *

Bardzo lubił ogień. Rano, czy było trzeba czy nie, palił we wszystkich piecach.

Koniecznie chciał mieć podświetlaną kolorowo fontannę. Taką jak kiedyś w Paryżu.

* * *

Zawsze podkreślał, że jest zrobiony z dobrego materiału. Umarł w lipcu. Miał dziewięćdziesiąt dwa lata. Od cmentarnej bramy trumnę wzięli na ramiona fryzjerzy. Miejscowi.

Szara, cementowa płyta. Bardzo skromna. Tak bardzo, że zapomina nawet spisać treść tablicy nagrobnej: imię, nazwisko i daty — początku i końca.

POEZJA

TOŻSAMOŚĆ - CZYLI SZUKANIE JEDNOŚCI

Wybór wierszy Tadeusza Chróścielewskeigo z lat 1938—1960 ukazał się w sześćdziesiątą rocznicę urodzin poety, związanego nieprzerwanie z Łodzią od roku 1945, gdy przybył tu — świeżo upieczony absolwent konspiracyjnej polonistyki warszawskiej — aby zdobywać własną „ziemię obiecaną". Miał już za sobą pierwsze dokonania literackie, między innymi wydany w 1944 roku tomik „Uczta Aureliana". Początkuje on poezją zdecydowanie osadzoną w literackiej tradycji, bardzo czystą formalnie, z lubością wykorzystującą środki odsyłane przez większość poetów współczesnych do lamusa — przede wszystkim rytm i rym. Retrospektywny zbiór wierszy Tadeusza Chróścielewskiego nosi znamienny tytuł „Tożsamość" i dokumentuje wierność autora wobec własnej postawy poetyckiej.

Jak ją tedy określić na recenzencki użytek? Myślę, że wyróżnia ją wyraźna dbałość o środki wyrazu, której celem jest po prostu komunikatywność poetyckiej wypowiedzi. Owa komunikatywność potrzebna jest zwłaszcza po to, by z możliwie najszerszym gronem czytelników podzielić się różnorodnymi spostrzeżeniami i refleksjami. spojrzeć na narodową przeszłość, przypomnieć jej tragiczne i wzniosłe momenty; udokumentować wrastanie w fabryczne miasto i potężniejącą z biegiem lat swoistą fascynację jego dawnymi i obecnymi dziejami; sięgać w głąb tradycji rodzinnych i tworzyć nowe; sławić urodę polskiego krajobrazu. Osobne miejsce zajmuje nurt poetyckiej zabawy, legendotwórczej zazwyczaj, opartej na zręcznej stylizacji i dowcipnym przekomarzaniu się ze swymi poprzednikami po lirze. Jest bowiem Tadeusz Chróścielewski poetą kulturowej aluzji, mistrzem odniesień, odsyłaczy, napomknień i literackich reminiscencji. Nie dzieje się to oczywiście po próżnicy. W ten sposób wyraża niejako zaproszenie i zaufanie do odbiorcy, zachęca go, by podjął wspólną grę, apeluje do jego wiedzy i poczucia humoru. W myśl tego założenia czytelnik już samodzielnie powinien pójść tropem przywołanej w wierszu tradycji literackiej.

Odnoszę jednak wrażenie, iż najlepiej bawi się sam autor. Dlaczego? Bo sam się z siebie prześmiewa. Dowodów znajdziemy wiele, najwyraźniejszy chyba w „Elegii na Dzień Zaduszny w duchu exegimonumentalistów ułożonej". Bo dworuje sobie z licznych postaci literackich znanych z najwcześniejszych lektur (por. np. cykl sonetów o panu Zagłobie). Bo jeśli nawet dedykuje wiersze innym uczestnikom poetyckich biesiad to przyjemność czyni głównie sobie (np. „Siurpryza przed zamkiem w Oporowie"). I tak być chyba powinno.

Czytając te słowa mógłby ktoś pomyśleć, że Taduszowi Chróścielewskiemu tylko figle w głowie. I srodze by się pomylił, ponieważ wiersze — śmiem użyć tak często nadużywanego słowa — patriotyczne cechuje dostojeństwo i zaduma, wsłuchiwanie się w werbel obwieszczający apel poległych. Zwłaszcza zaduma nad losem pokolenia „Kolumbów" — rówieśników poety. Ale nie tylko. Nad losem wszystkich „weteranów" polskiej historii. Bowiem:

Gdy przejść mają umarli
wzdłuż szpaleru powiek
Ich zbliżanie obwieszcza pisk
strwożonych ptaków.
Najłatwiej jest przywołać ich
werblem, albowiem
Przyrzekli przyjść tu krokiem
marszowym, w ataku...
(„Apel poległych w Gdańsku 1. IX. 1969")

Poezja Chróścielewskiego jest swoistym dokumentem. I to nie tylko jego przemyśleń, wzruszeń, natchnionych stanów. Jest dokumentem podróży w czasie. Jest dokumentem również zwykłych turystycznych wypraw w okolice Łodzi i dalsze. Jest dokumentem podróży zagranicznych. Niemal na wszystko przecież reaguje autor „Tożsamości" wierszem, każde istotniejsze zjawisko doczekało się poetyckiego zapisu.

Zróżnicowany świat poetyckich wizji scala w tym tomie liryczny podmiot — reprezentant określonej świadomości narodowej i postawy kulturowej. Zmierza on do celu idealnego, do uzyskania jednolitości w porządkowaniu zjawisk świata tego. Służy temu w pierwszym rzędzie identyfikacja z dorobkiem kulturalnym Europy, w kulturze bowiem dostrzega Chróścielewski jedyną szansę na pokonanie dezintegracji współczesnego człowieka. Jedność ludzi w kulturze — oto nadrzędna idea poezji Tadeusza Chróścielewskiego.

Wyraża ją niekiedy poeta z Tuwimowską wręcz bezpośredniością:

i pachnie świeżą zagranicą
odkrytka
na niej „życzeń dar"
Meilleurs Voeux
Felices Fiestas
a nieco niżej cyrylicą
Podarok Objedinnionych Nacji
To jest nasz paszport...
(„O odkrytce z Nocą Wigilijną Regisa Gignoux")

Paszportem Tadeusza Chróścielewskiego jest jego poezja.

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

T. Chróścielewski, Tożsamość, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1980.

TEATR

REŻYSER MA POMYSŁ

„Dobrze, ze zrozumieniem piszesz o „Szansie". Wina zatopiona w bezradności tych ludzi. Tak, właśnie o to chodzi. Bezradność człowieka. Oczywiście w określeniu „bezradność" trzeba czuć i cały ciężar istnienia. Trzeba też z „teatralnego" punktu widzenia uwierzyć jeszcze raz — zupełnie inaczej! — w symbolizm. Nie, nie jest to łatwe do zrobienia na scenie. [...]

Pierwodruk „Szansy" przyniósł w 1972 roku styczniowy numer „Dialogu", prapremiera odbyła się w listopadzie bieżącego roku, a kilka cytowanych wyżej zdań pochodzi z listu Otwinowskiego do Izabeli Bielińskiej, pisanego niedługo po ukazaniu się sztuki drukiem. Wspominam o intymnym zwierzeniu pisarza nie bez przyczyny. Dziewięć lat prawie czekała „Szansa" na sceniczną realizację; czas zdążył zatem potwierdzić obawy autora. Ale nie tylko on. Potwierdził je również Andrzej Wanat, który sięgnął po utwór Otwinowskiego i przyrządził go na małej scenie Teatru Nowego. A uczynił to w sposób gwarantujący publiczności dwie godziny naocznego śledzenia teatralnej klapy.

Andrzej Wanat jest twórcą, który — jak się wydaje — upodobał sobie szczególnie problematykę psychologiczną i najpewniej te właśnie zainteresowania zdecydowały o wyborze „Szansy". Utwór istotnie jest próbą penetracji ludzkiej psychiki: oczekujących pomocy i zrozumienia i tych, którzy tej pomocy udzielić próbują lub nie mogą, czy nie potrafią I to jest właśnie szansa, dla obu stron.

Świadomie upraszczam, gdyż nie idzie mi w tej chwili o dogłębną analizę treści — każdy może to uczynić na własny użytek po obejrzeniu spektaklu — lecz o konstrukcję sztuki, bo tu właśnie tkwi jej największa słabość. Z chwilą, gdy na placu gry znaleźli się już wszyscy, okazuje się nagle, że są tutaj po prostu niepotrzebni. Z ich obecności nic, a w każdym razie niewiele wynika. Całość nie klei się, a tytułowa szansa rozmywa w dosyć nieokreślony symbol. Brakuje w tym wszystkim iskry, która tchnęłaby życie w grających na scenie aktorów i ludzi zasiadających na widowni. I to jest pierwsza, tkwiąca niejako immanentnie w samym tekście, przyczyna niepowodzenia „Szansy". Spektakl nie mógł tej przeszkody ominąć, ani tym bardziej pokonać. Potwierdził — w dekoracjach, kostiumach, wśród rekwizytów i z udziałem aktorów — istniejący stan rzeczy. Oglądaliśmy w efekcie, przez czas wystarczająco długi, zmagania zespołu z tworzywem, które dla teatru okazało się zbyt oporne.

Pewien niedosyt musiał odczuwać również Andrzej Wanat, skoro postanowił potraktować inscenizowany tekst w sposób twórczy i odcisnąć na nim ślad swojej artystycznej indywidualności. I — przyznaję otwarcie — zaskoczył w tym miejscu daleko posuniętą inwencją i pomysłowością: zakończył sztukę na własny sposób. To, co napisał Otwinowski było zbyt mgliste i symboliczne; Wanat wybrał konkret. Adam, student socjologii i zapalony piechur, który przeszedłby jeszcze pewnie wiele kilometrów, zawiązał — za sprawą reżysera — pętlę i powiesił się w hangarze na pobliskim lotnisku. Też symbol, ale jaki namacalny. Na tym jednak nie koniec reżyserskiej pomysłowości. Jest jeszcze ciąg dalszy. Doktor Zarzęcką, profesora psychologii z katolickiego — co istotne — uniwersytetu, zastąpił — aby już nie było żadnych wątpliwości — ksiądz Zaremba. Prawda, że wdzięcznie wywiązał się z tego zadania Jacek Chmielnik, ale poza tym faktem dokładnie nic więcej z owej zamiany nie wynika. Czy jednak na pewno nic? Chyba jeszcze to, że stara zasada potwierdziła się w praktyce po raz któryś już z kolei: jeśli robi się tradycyjny teatr, obróbka tekstu — o ile następuje — dozwala co najwyżej na skreślenia; źle znosi natomiast wszelkie dopisywania i sygnowanie całości nazwiskiem autora. Myślę, że jest to prawda warta przypomnienia. „Szansa" Wanata, bardzo źle przysłużyła się „Szansie" Otwinowskiego.

Spektakl próbowali ratować aktorzy, lecz był to zamiar tyleż chwalebny, co nierealny. W doświadczonym zespole świetnie grała dwójka młodych: Jolanta Buszko, jako Elżbieta Klinger i Krzysztof Kaczmarek (Adam). W przyszłości będą mieć zapewne trochę więcej szczęścia.

Po dwóch godzinach spędzonych w teatrze wychodzi się z wrażeniem wyraźnej ulgi. I jeszcze z programem w kieszeni, w którym wydrukowano tytuł sztuki oraz nazwiska autora, reżysera i wykonawców. Cena 5 złotych.

ANDRZEJ S. WARZECHA

Teatr Nowy. Mała Sala. Stefan Otwinowski: Szansa. Reżyseria: Andrzej Wanat, scenografia: Zenobiusz Strzelecki. Prapremiera 23 listopada 1980 r.

„NASZ GŁOS W OBRONIE KULTURY"

Mimo szczytnych deklaracji władz nigdy jeszcze, w powojennej historii Polski, rola kultury i sztuki w przebudowie socjalistycznej świadomości społeczeństwa nie była tak zepchnięta na margines działalności państwa, co w ostatnim dziesięcioleciu. Wpłynęły na to z jednej strony poważne ograniczenia rozbudowy bazy materialnej, systematyczne skreślanie z planów gospodarczych obiektów użyteczności publicznej oraz inwestycji przemysłowych służących kulturze i sztuce z drugiej strony nie usprawiedliwione rzeczywistymi racjami narodowymi ograniczenia cenzuralne wyłączające z obiegu społecznego w kraju wartościowe dzieła, których twórców dotknął polityczny ostracyzm. Dodatkowym czynnikiem deprecjacji kultury było zbiurokratyzowanie pracowników administracji, dążącej do ubezwłasnowolnienia twórców pozbawienia ich wpływu na kształt dokonań w sferze kultury, co wyrażało się brakiem konsultacji, a nawet zaufania do twórców lekceważenia ich słusznych praw i kreowania fałszywych hierarchii priorytetów. Dekretowanie kultury przez administrację doprowadziło do zerwania więzi społecznych, której wyrazem był m.in. ogólnospołeczny sprzeciw obejmujący przede wszystkim środowiska robotnicze.

Stojąc na gruncie porozumień społecznych zawartych w Gdańsku, Szczecinie i Jastrzębiu i witając z zadowoleniem uchwały VI i VII Plenum KC PZPR, którym udzielamy zdecydowanego poparcia widząc w nich najwłaściwszą drogę wyjścia z kryzysu stwierdzamy, że kultura polska stanowi niezbywalne dziedzictwo narodu, a obowiązkiem każdego twórcy jest przyczynić się do powiększania jej dorobku na miarę swych sił i talentu, dla dobra społeczeństwa. Chcemy tę powinność wypełniać jak najlepiej widząc jednocześnie konieczność oczyszczenia aparatu zarządzania kulturą z wszelkich naleciałości biurokratycznych We władzach administracji chcemy widzieć zamiast karierowiczów, nominantów i konformistów, autentycznych działaczy rozumiejących doskonale społeczne potrzeby w dziedzinie kultury i traktujących środowiska twórcze na zasadach koleżeńskich i w pełni partnerskich. Tylko wspólnym wysiłkiem twórców, ofiarnych działaczy aparatu upowszechniania kultury i administracji można będzie najmniejszymi kosztami społecznymi odrobić karygodne zaniedbania i uczynić dobra kulturalne dostępnymi dla całego narodu.

Domagamy się uwzględnienia w podziale dochodu narodowego aspiracji kulturalnych Polaków, które trzeba zaspokoić na równi z innymi potrzebami bytowymi. Domagamy się także ograniczenia działania cenzury poprzez ustawowe uregulowanie zasad jej działania zgodnie z oczekiwaniami klasy robotniczej i środowisk twórczych. Popierając politykę odnowy której celem jest przywrócenie zasad sprawiedliwości społecznej przyłączamy się do głosów upatrujących historyczną szansę Polski w pogłębianiu procesów demokracji i stworzenia instytucjonalnych gwarancji jej prawidłowego funkcjonowania. W sferze kultury demokratyzacja powinna się łączyć z likwidacją faktycznego monopolu ośrodka centralnego i stworzenia możliwości rozwojowych regionom. Tylko w ten sposób będzie możliwe wykorzystanie potencjału twórczego środowisk artystycznych i humanistycznych całego kraju dla dobra społeczeństwa.

STOWARZYSZENIE TWÓRCÓW KULTURY

ZAMIAST RECENZJI

ALLEGRO PARALITICO RA — MOLL

Gdy tylko zabrzmiały pierwsze takty słynnego utworu nie mniej słynnego kompozytora, inżynier Bełt zrobił oczy w słup i trwał tak nieruchomo przez czas dłuższy.

— *Spójrz jak go wzięło* — szepnęła Ciotka — *to się nazywa siła prawdziwej sztuki.*

— *A ciocia nic* — spytałem *tak obojętnie percepuje to muzyczne wydarzenie?*

Nie zdążyła mi jednak odpowiedzieć, bowiem uczułem na swoim ramieniu zaciskające się palce Narzeczonej. Po chwili uścisk zelżał.

— *Przepraszam, nie trafiłam* — powiedziała zdenerwowanym głosem.

Spojrzałem na nią zdziwiony, gdyż bezustannie chwytała się silnie za różne części ciała a czasami i za krzesło lub za przygodnych słuchaczy.

— *Co się z tobą dzieje?* — szepnął zaniepokojony.

— *Stosuję chwyty samoobronne, nie widzisz* — szepnęła cała wzburzona.

— *Przecież nikt na ciebie nie nastaje* — zauważyłem.

— *Ten utwór* — rzekła drżącymi wargami — *ta muzyka... Bronię się sama przed sobą. Rozumiesz, nie mogę się poddać.*

— *Nie rozumiem* — odparłem.

— *Ja także nie* — wtrąciła się doktorowa Dużogorsza — *i w ogóle nie rozumiem o co tu chodzi. Te na przemian łkające skrzypce i ryczące organy doprowadzają mnie do nieprzytomności. Może by mi ktoś wytłumaczył...*

Ciotka wachlując się codzienną gazetą, nachyliła się do niej.

— *Nie słyszała pani o swobodzie interpretacji?* — spytała. — *Każdy rozumie jak chce.*

— *Ależ ja niczego nie rozumiem!*

— *Droga pani* — szepnęła Ciotka, przesłaniając usta stronicą z wiadomościami krajowymi — to też jest pewien sposób podejścia.

— *Chyba nie wytrzymam* — jęknęła moja Narzeczona, szczypiąc się w łydki — *już prawie mi się zdaje, że to sen.*

— *Może soli* — Ciotka wyjęła z torebki niewielki flakonik — *na licencji angielskiej, niezawodne w użyciu.*

— *Ja pierwsza, ja* — zawołała doktorowa Dużogorsza i przystawiwszy sobie buteleczkę do nosa, kilka razy głęboko wciągnęła powietrze, aż oczy jej zaszły łzami.

— *No i co?* — spytała Ciotka. — *Jednak się pani w końcu wzruszyła.*

Doktorowa spojrzała na nią nieprzytomnym wzrokiem.

— *Zdaję mi się, jakbym to już gdzieś słyszała.*

— *To niewątpliwie się pani zdaje, bowiem dziś mamy prapremierę tego utworu.*

— *A w programie pisali, że już jest słynny* — powiedziała z wyraźnym zawodem w głosie doktorowa.

— *Właśnie dlatego* — odparła Ciotka — *znany był jedynie ze słyszenia.*

Nagle Narzeczona jęknęła tak boleśnie, wykręcając sobie ucho, że inżynier Bełt, pogrążony dotąd w stanie katalepatycznym, aż podskoczył na swoim miejscu.

— *Czy nie może pani uszanować tej świątyni sztuki?!* — *mruknął złowrogo.*

— *To zbyteczne* — odparła Narzeczona nieco przytomniejszym głosem — *i tak idzie do rozbiórki.*

Inżynier Bełt zaśmiał się cicho, lecz z wyższością.

— *Wstrzymano wszystkie zbędne inwestycje. Będzie musiała się pani przyzwyczaić od nowa do szacunku. A panią* — zwrócił się do mojej Ciotki, która studiowała codzienną prasę — *widzę, że ten utwór wcale nie interesuje.*

— *Właśnie czytam recenzję z tego wykonania* — odparła z godnością. — *Opinie są na ogół zgodne....*

— *To już są głosy krytyki?* — zainteresowała się doktorowa Dużogorsza. — *Cóż za niesłychana szybkość informacji. Nic nie rozumiem!*

— *Przy obecnym stanie nauki i techniki to żaden problem* — prychnął inżynier Bełt — *wszystko załatwia transmisja satelitarna, a wtedy różnica czasów staje się nieunikniona.*

— *Trzeba tylko nadawać z odpowiedniej strefy* — wtrąciła Ciotka — *odwrotnie do ruchu wskazówek zegara.*

— *Zegara historii* — zaśmiał się rechotliwie inżynier Bełt, robiąc do niej oko.

Ciotka rzuciła mu lodowate spojrzenie.

— *To nie maszynka do mięsa, żeby kręcić nią w obie strony.*

— *Ale sama pani powiedziała...*

— *Mówiłam jedynie o ruchu wskazówek. Mechanizm idzie zawsze w jednym kierunku. Chyba uczono pana tego w szkole.*

— *Auu!* — jęknęła Narzeczona, wpijając się w kark inżyniera Bełta.

Ciotka spojrzała do gazety.

— *To było do przewidzenia* — powiedziała — *cytuję: ekscesy ze strony nieodpowiedzialnych jednostek zakłóciły spokój licznie przybyłych słuchaczy.*

Pomogła Narzeczonej wypiąć się z inżyniera i podstawiła jej pod nos flakonik z solami.

— *Gorzej ci?* — spytała z głęboką troską.

— *Zdecydowanie* — odparła Narzeczona, opadając bezwolnie na moje ramię.

— *To znakomicie* — powiedziała Ciotka — *spróbuj się na razie upoić czystą sztuką. Jak wrócimy do siebie, trzeba będzie uciec się do bardziej radykalnych środków.*

JACEK KRAKOWSKI

WACŁAW OPACKI

KONTURY ZBRODNI

W Warszawie pojechałem na Rakowiecką. Nacisnąłem guzik po prawej stronie bramy mokotowskiego aresztu śledczego. Wszedłem do środka. Kraty. Za nimi dwoje krzątających się ludzi. Czekanie. Pismo, które pokazuję zawiera moje nazwisko, nazwisko mężczyzny, z którym mam rozmawiać, zdanie będące krótkim zastrzeżeniem: *„rozmowa ma się odbyć bez udziału funkcjonariusza"* oraz podpis przewodniczącego Wydziału Karnego Sądu Wojewódzkiego w Zamościu. Znowu minuty czekania. Potem klucze w ruch, ciężko otwierające się kraty, przejście przez korytarz. Jeszcze raz formalności, jeszcze jedne drzwi. Nareszcie pokój widzeń, w którym stół, krzesła. Nic więcej.

Nim tu przyjechałem, poznałem dokładnie sprawę: przestudiowałem akta, wysłuchałem przewodu sądowego, przeprowadziłem rozmowy z ludźmi — świadkami, także z przewodniczącym składu orzekającego, który wydał wyrok: kara śmierci, pozbawienie praw publicznych na zawsze — za zbrodnie popełnione w okresie okupacji i przewidziane w art. 1 pkt 1 dekretu z dnia 31 sierpnia 1944 r. o wymiarze kary dla faszystowsko-hitlerowskich zbrodniarzy winnych zabójstw i znęcania się nad ludnością cywilną i jeńcami oraz dla zdrajców Narodu Polskiego.

Był członkiem tzw. ukraińskiej policji pomocniczej i brał udział w dokonywaniu masowych zbrodni na ludności polskiej.

Dla zrozumienia tła tamtych wydarzeń musimy się trochę cofnąć w czasie. Historycy wojennej nienawiści Ukraińców do Polaków doszukują się źródła nawet aż w XVII wieku, kiedy przez Ukrainę przeszła fala rozboju, palenia wiosek i jej mieszkańców. Rządziła zasada *„ogniem i mieczem"*. To przecież Henryk Sienkiewicz o tym okresie napisał: *„Opustoszała Rzeczpospolita, opustoszała Ukraina. Wilcy wyli na zgliszczach dawnych miast i kwitnące niegdyś kraje były jakby wielki grobowiec. Nienawiść wrosła w serca i zatruła krew pobratymczą"* Tamtej historycznej nauki nie próbowano wykorzystać w okresie rządów sanacji. Chłopi ukraińscy byli gnębieni jeszcze bardziej niż polscy, do nich także częściej strzelała policja — najczęściej bez powodu. *„Lała się krew chłopska, taka sama jak przelana później przez policję w Muninie i Racławicach Ale tu — krew ukraińska. Wkrótce nabrało to ogromnego znaczenia"* — pisał Zbigniew Załuski I na tym podłożu wyrastał nacjonalizm ukraiński

„Wiemy dość dużo o genezie ukraińskiego nacjonalizmu Od hetmana Skoropańskiego po Stefana Banderę — pisał dalej Załuski — *od austro-węgierskiej K-Stelle po berlińskie gestapo po lata współpracy Teodora Oberländera i Romana Szuhewycza, późniejszego dowódcy UPA, droga rozwoju ukraińskiego nacjonalizmu jest nam znana Czy nie trzeba nam jednak przypomnieć o pożywce? Nie tylko o pacyfikacjach w województwie tarnopolskim Nie upraszczajmy, jakkolwiek byłoby to miłe i wygodne, tej kwestii „błędów i wypaczeń" polskiego „półfaszyzmu". Minister który w 1926 r. zająknął się w Sejmie polskim o potrzebie uniwersytetu ukraińskiego, został natychmiast obalony przytłaczającą większością głosów niemal wszystkich klubów poselskich. W 15 lat później uzbrojeni przez Niemców faszyści ukraińscy tworzenie „samostijnej Ukrainy" rozpoczęli od.. wymordowania polskich profesorów radzieckiego Uniwersytetu we Lwowie z Boyem Żeleńskim i Kazimierzem Bartlem na czele. Obiecana autonomia dla Ukraińców? Tenże profesor Bartel za czasów gdy był premierem rządu polskiego, zmuszony był gorzko stwierdzić: „Pomysł taki dałby się zrealizować chyba tylko pod warunkiem stanu wyjątkowego w Małopolsce, i to przeciw polskiej ludności dzielnicy". (...) Sprawa chłopskiej nędzy ucisku, sprawa buntu, przybrała wkrótce zabarwienie konfliktu narodowego. Coraz częściej mówiono, że nie policja strzelała, ale że strzelali „Lachi" Zaś w polskich osadach i leśniczówkach nie mówiono, że chłopi maszerowali na Łuck, ale — ciągnęła „tłuszcza", „czerń", „hady". Powtarzano, że każdy Ukrainiec, jak zły pies, ma czarne podniebienie..."* — kończy Załuski.

W dniu napaści na Związek Radziecki Niemcy wydali odezwę *„Do narodu ukraińskiego"*. Oddziały specjalne Einsatzgruppen poruszające się za regularnymi oddziałami Wehrmachtu, oczyszczając tereny z „komunistów", wykorzystywali dla swoich ludobójczych celów dwa bataliony ukraińskie: „Rolland" i „Nachtigall", a także utworzoną wcześniej Ukraińską Policję Pomocniczą (Ukrainische Hilfspolizei). To oni brali udział w masowych akcjach eksterminacyjnych, chociażby w pierwszych dniach okupacji ZSRR we Lwowie wymordowali 2000 Żydów i 25 profesorów i docentów wyższych uczelni.

Areną tragedii i nienawiści był przede wszystkim Wołyń, na początku, bo ukraińskie bandy wkrótce przemieszczą się na Bukowinę, Galicję i „Zakierzoński kraj" Na terenie południowo-wschodniej Polski — gdzie działał mój rozmówca — hitlerowcy także podsycali i wspomagali ruch nacjonalistyczny wśród ludności ukraińskiej, obiecując im utworzenie odrębnego, niezależnego państwa ukraińskiego. Delegacje ukraińskie przyjmował na Wawelu generalny gubernator Hans Frank, utworzono szkoły ukraińskie, wydawano pozwolenia na wywieszenie żółto-niebieskich nacjonalistycznych sztandarów. W Krakowie utworzono Ukraiński Komitet Centralny kierowany przez byłego docenta Uniwersytetu Jagiellońskiego, Włodzimierza Kubijowicza.

Na tych terenach hitlerowcy utworzyli także policję pomocniczą, która ściśle współpracowała z gestapo i innymi służbami hitlerowskiego okupanta, a także popieraną przez Niemców Organizacją Ukraińskich Nacjonalistów (OUN) i utworzonymi w 1943 r. przez tę organizację Ukraińską Powstańczą Armią (UPA). Werbowane osoby kierowano do poszczególnych posterunków. Między innymi utworzono posterunki policji w Cieszanowie i Szczepiatynie.

Do nich właśnie trafił.

Do wybuchu wojny posiadał obywatelstwo polskie, pracując w Urzędzie Celnym w Śniatynie. We wrześniu 1939 r. wraca do Lwowa, gdzie pracuje dorywczo jako robotnik i krawiec. Po napaści hitlerowców na Związek Radziecki i wkroczeniu Niemców do Lwowa, wyrabią sobie przy pomocy Ukraińca — Józefa Hornego, „ausweis" na nazwisko Iwana Maślija i wstępuje do Ukrainische Hilfspolizei. Nazwiska Maślij używa do końca wojny. Potem zmienia je na Wilczek, wykorzystując okazję wielkiego napływu ludzi powracających z robót przymusowych do kraju. Zatrzymuje się w Rakłowicach, gdzieś we Wrocławskiem — z dala od swych ofiar, odnajdując jednocześnie zostawioną poprzednio w popłochu rodzinę. Wraca z konieczności do swego pierwszego nazwiska — Masłowski.

Szczepan B. pierwszy raz Jana Masłowskiego zobaczył w grudniu 1946 r. w Rakłowicach. Usłyszał wtedy od niego, że wrócił on akurat z frontu w Zgorzelcu. Jan B. nadmieni, że Masłowski przybył do Rakłowic w rok po jego zamieszkaniu w tej miejscowości. Nie mówił jemu, gdzie był i co robił. Był małomównym i zamkniętym w sobie człowiekiem. Dosyć często się z nim spotykał, ponieważ on był burmistrzem, a Masłowski sołtysem w Rakłowicach, jednak nigdy nic nie mówił jemu, co robił podczas okupacji. Podobnie mówi Władysław K., z którym Masłowski miał po sąsiedzku łąkę: — *parał się krawiectwem i niczym szczególnym się nie wyróżniał.*

Andrzej S zezna: — *W latach 1973—75 pracowałem jako zastępca dyrektora do spraw gospodarczych szpitala w Miliczu. W tym czasie stróżem był Jan Masłowski. Zachowywał się dziwnie, był odludkiem, zarazem małomównym. Gdy z nim rozmawiałem, to spuszczał oczy do dołu. Nigdy nie miałem z nim żadnych zatargów. Kilka razy tylko zwróciłem mu uwagę na temat pełnionej przez niego funkcji dozorcy Nie znałem jego przeszłości, rodziny, nie wiedziałem skąd pochodził Czasami Masłowski robił wrażenie, że chce być jak najmniej widoczny. Zastanawiało mnie kiedyś, gdy się z nim rozmawiało, że przyjmował postawę na baczność...*

Nim tu przyjechałem poznałem kulisy ujęcia. Niedawno na spotkaniu w klubie studenckim opisując tę sprawę zacząłem tak:

Maria Z. prawdopodobnie i tym razem będąc kolejny raz w gościach u swojej córki, przeszłaby obok człowieka, który w jej biografii życiowej zapisał zbrodniczą kartę. Gdzieś tę twarz już widziała? Ale gdzie? Przewinęła rolkę z pamięcią... I jakby nagle wszystko stanęło jej przed oczyma: ciała ludzi przez niego pomordowanych i on z irytującym uśmiechem komentujący: — ale żeśmy narobili mięsa.

— *Mamo, ty się na pewno mylisz* — uspokajała córka. — *Ten człowiek mieszka tu od lat. Wychował czworo dzieci, są już dorosłe. Znają go całe Rakłowice.*

— *Nikt nie zna go tak, jak ja. Poradzę się w naszych stronach, co z tym robić dalej* — upierała się.

Prokuratorowi Maria Z. powiedziała: — *był przekonany, że dokonanych zbrodni nikt mu nie udowodni Myślał, że czas i przerażający ogrom innych zbrodni pozwoli ludziom zapomnieć. A jemu uniknąć kary. Stało się inaczej. Zapomniał, że pamięć ludzka zawsze będzie wracać do czasów zbrodni, będzie odgrzebywać ofiary i przypominać je światu: aby tamto się nigdy nie powtórzyło.*

Przed oczyma są wciąż te sylwetki ludzi z tych procesowych dni. Zeznawali:

— *Mężczyzna jest podobny do Maślija ze wzrostu i koloru włosów. Głos Masłowskiego jest trochę podobny do głosu Maślija, który miał głos przeraźliwy, krzykliwy.*

— *Upłynął długi okres czasu, ale i dzisiaj rozpoznaję w oskarżonym policjanta z posterunku w Szczepiatynie, który zabił Kołodziejów.*

— *W czasie akcji pacyfikacyjnej uciekłem w pole. Jak wróciłem na drugi dzień, to żona, która z dziećmi schowała się wraz z 12 innymi do piwnicy, została zamordowana. Dzieci przeżyły, bo schowały się pod spódnicę żony. Najmłodsze miało osiem miesięcy. ona zaś została zakłuta bagnetem.*

Wchodzi. Staje na baczność, melduje się. Pyta czy może usiąść.

Wybucha płaczem.

— *Nie, to niemożliwe. Ja tego nigdy nie zrobiłem...*

Nie pytany zaczyna recytować jak z nut.

Z aktu oskarżenia:

Iwana Maślija vel Jana Masłowskiego (...) oskarża się o to, że

1. daty bliżej nieokreślonej, jesienią 1941 r. w Niemstowie, woj przemyskie, jako funkcjonariusz ukraińskiej policji pomocniczej z posterunku w Cieszanowie idąc na rękę władzy państwa niemieckiego w zamiarze pozbawienia życia Franciszka Zadwornego strzelił do niego z karabinu, lecz zamierzonego skutku nie osiągnął, gdyż go nie trafił.

2. daty bliżej nie ustalonej w Szczepiatynie, woj. zamojskie (...) wziął udział w zastrzeleniu co najmniej pięciu żołnierzy Armii Czerwonej zbiegłych z niewoli niemieckiej,

3. w maju 1942 r. zastrzelił mężczyznę o nieustalonym nazwisku,

4. w dniu 10 maja 1943 r. na drodze z Kraczowa do Uhnowa wziął udział w zastrzeleniu Jana, Stanisława i Antoniego Kołodziejów,

5. we wrześniu 1943 r zastrzelił mężczyznę o nieustalonym nazwisku,

6. w listopadzie 1943 r. w Dyniskach (...) wziął udział w zastrzeleniu Leona Ważnego,

7. w nocy z dnia 17 na 18 marca 1944 r. w Tarnoszynie, działając wspólnie z innymi funkcjonariuszami posterunku i bandą UPA wziął udział w spaleniu wsi Tarnoszyn i zamordowaniu około 80 jej mieszkańców narodowości polskiej,

8. dnia 28 marca 1944 r wziął udział w zamordowaniu 18 osób ze wsi Szczepiatyn i Tarnoszyn...

— To jest jeszcze nie wszystko — mówię.

— *Ale i to, i wszystko pozostałe jest nieprawdą.*

Podnosi głos, spazmuje.

— *Ja nigdy w życiu nie potrafiłem nawet nóżki od kury tknąć, a co dopiero człowieka. Jestem niewinny. A tu człowieka pod szubienicę... Za co?*

W procesie zeznawało ponad 100 ludzi, z czego — z wyjątkiem tylko kilku osób — wszyscy rozpoznali Jana Masłowskiego vel Iwana Maślija jako tego, który zabijał, mordował. Dał się poznać na co dzień jako okrutny, gorszy od Niemców — jak zeznał jeden ze świadków.

— *W czterdziestym ósmym dniu po aresztowaniu, chcąc złożyć dobrowolnie i sprawiedliwie zeznania na okoliczności postawionych mi zarzutów, zdecydowałem się napisać do Prokuratury Wojewódzkiej w Zamościu, że od maja 1942 r. pracowałem u prywatnego właściciela warsztatu krawieckiego — Jana Kaniowskiego. Właśnie w tym czasie do tego warsztatu w czasie nieobecności właściciela przyszedł mój znajomy — Józef Horny, którego warsztat mieścił się na ulicy Sapiehy (pracujący wyłącznie dla władz wojska niemieckiego). Tenże Horny po starej znajomości zaproponował mnie jako dobremu fachowcowi przejście do pracy w jego warsztacie Tak więc znalazłem się u Hornego, który wyrobił dla mnie wszystkie formalności dokumentacyjne i sam osobiście po kilku dniach pracy wręczył mnie „ausweis" którego uprzednio nie posiadałem.*

— Ale „ausweis" był wystawiony na nazwisko — Masłowski Jan.

— *Otrzymałem jednak także nazwisko konspiracyjne — Iwan Maślij i przez tegoż Hornego zostałem wciągnięty do Ukrainische Hilfspolizei. Przy końcu maja 1942 r. skierowany zostałem do Szczepiatyna w województwie zamojskim, gdzie przez cały okres czasu, to jest do końca kwietnia 1944 r. pełniłem służbę pomocniczą w charakterze wartownika zewnętrznego budynku, gdzie mieściła się niemiecka policja z oddziałem ukraińskiej policji. Moje zadanie pracy polegało na stałym, trzyzmianowym pilnowaniu gmachu tej policji, który to gmach był zagrodzony szlabanami zakazującym wstępu do posterunku osobom tam nie zatrudnionym.*

— To nie przeszkadzało być szczególnie napastliwym wobec ludności...

— *Nie. Byłem głośny dlatego, że musiałem, bo stale odganiałem z krzykiem różnych przechodniów tam idących lub kręcących się w tym rejonie.*

— Skazany wziął udział w zamordowaniu jeńców radzieckich.

— *W tej akcji ani w pierwszym ani w drugim przypadku udziału nie brałem, bo jeżeli chodzi o zatrzymywanie i rozstrzelanie ludzi podejrzanych, to wykonywali to sami Niemcy z udziałem bardzo zaufanych funkcjonariuszy ukraińskich.*

— Do służby w Ukrainische Hilfspolizei byli werbowani też tylko zaufani ludzie.

— *Ja po dziś dzień nie wiem, jak nawet nazywał się szef posterunku policyjnego — bo to przecież był Niemiec, a ukraińscy policjanci używali zupełnie innych imion i nazwisk.*

Fakty są jednak zupełnie inne. Jeńcy radzieccy przebywali u miejscowych rolników: Jakima Seniuka i Mikołaja Wolczyka. Zostali oni przez skazanego aresztowani i doprowadzeni do posterunku. *„Jednego razu* — zeznała podczas procesu Władysława K. — *zobaczyłam na drodze jadącą furmankę, na której znajdowało się dwóch Niemców, jeden ruski w szynelu, a do niego odwróconych siedziało trzech starszych powiązanych drutem kolczastym. Widziałem jak zeszli z furmanki i poprowadzili tych jeńców. Zauważyłam, jak Niemiec odczytał najpierw..."*. Ludwik H., który w okresie okupacji mieszkał w Szczepiatynie w odległości 500 metrów od posterunku policji ukraińskiej nazwał skazanego asem tej policji. *„Maślij* — powiedział — *był gorszy od gestapowca"* Zapamiętał taki wypadek — jak skazany wyprowadzał trzech jeńców radzieckich w samych kalesonach i potem rozstrzelał. Jeden z nich jeszcze krzyknął: — *brat, nie strilaj.* Zaraz potem skazany wyprowadził jeszcze dwóch jeńców, których zaprowadził pod grusze w sadzie Władysława H. i na oczach innego świadka — Stanisława J. — zastrzelił.

— *To było tak dawno, że aż mi wszystko przed oczyma miga...*

Trzydzieści cztery lata po tych morderstwach Władysław H. i Stanisław J. wskazali miejsca zastrzelenia tych jeńców, jak i miejsca pochowania ich zwłok. W czasie ekshumacji, w dniach 10—13 maja 1977 r. w miejscu wskazanym odkopano groby, w których znajdowały się szkielety ludzkie. Zabezpieczono dowody rzeczowe w postaci guzików, klamer itp. przedmiotów. Biegli z zakresu nauk przyrodniczych i medycyny sądowej Akademii Spraw Wewnętrznych w Warszawie po zbadaniu szkieletów stwierdzili, że zabezpieczone szczątki kostne są pochodzenia ludzkiego, płci męskiej w wieku od 16 do 55 lat. Czas zalegania ich w ziemi wynosi ponad 30 lat. Zakład Kryminalistyki Komendy Głównej MO w Warszawie dodatkowo stwierdził, że *„niektóre z nich, jak metalowe guziki są guzikami wojskowymi i były stosowane przy płaszczach oraz mundurach żołnierzy i oficerów Armii Radzieckiej w czasie II wojny światowej"*.

— *Zarzucono mnie, że rzekomo brałem udział w spaleniu wsi Tarnoszyn i wymordowałem około 80 jej mieszkańców. A ja wiem tylko z opowiadań, że do Szczepiatyna przyjechało dużo policji ukraińsko-niemieckiej i wyruszyli gdzieś na akcję. Ja w tym czasie pełniłem swoją służbę wartowniczą. Dopiero później z luźnych rozmów dowiedziałem się, że ta akcja palenia i mordowania była w Tarnoszynie. Poza tym nic nie wiadomo mnie o tym fakcie. Tuż po całej akcji w krótkim czasie powróciłem do Lwowa, który też w krótkim czasie został wyzwolony przez Armię Radziecką i Ludowe Wojsko Polskie. Mnie jako Maślija powołano w czerwcu 1944 r. do LWP i skierowano pieszo w kierunku Jarosławia, jeszcze w ubraniu cywilnym. Odłączyłem się od kolumny i zniszczyłem „ausweis" na nazwisko Maślija, a przedtem na prawdziwe nazwisko — Jana Masłowskiego i chodząc jako krawiec domowy po ludziach, trudniąc się krawiectwem, zarabiałem na swoje utrzymanie, aż do czasu przyjazdu mojej rodziny do Rakłowic. Ja przy rodzinie uczciwie pracowałem aż do czasu aresztowania mnie.*

— Jak to było z Zygmuntem G.?

— *Nie chciał mi oddać roweru!*

— Więc tylko za to skazany wziął siekierę i chciał poucinać ręce. Na przeszkodzie stanęła matka G. A potem skazany zaczął obydwoje okładać pałką z kolcami...

— *Zadworny też nie chciał oddać dla Niemców kontyngentu! A dopilnowanie tego było moim obowiązkiem!*

— Karolina Zadworna została zbita tak, że przez dwa tygodnie nie mogła chodzić... U Józefa S. nocował Piotr Kurdziel, który wcześniej uciekł z niewoli. Ktoś o tym doniósł na posterunek. Wówczas przyszedł skazany do niego i powiedział: „ty s..., kogo ty przechowujesz!" Ojciec jego zaczął się wypierać, wówczas został zabrany i w mieszkaniu jednego z Ukraińców został zbity. Wyszedł cały pokrwawiony i od tego czasu ogłuchł... Ale wróćmy do spalenia Tarnoszyna i wymordowania jej mieszkańców.

— *Jeszcze raz powtarzam, że w tym nie brałem udziału...*

— Podczas procesu Paweł P. zeznał, że od dłuższego czasu mieszkańcy wsi przewidywali napad, ponieważ sąsiednie wsie były już pacyfikowane. Tamtego sądnego dnia ok. godziny 24 zauważył, że duża grupa Ukraińców zbliża się do wsi, chyba około 1000 osób. Otoczyli całą wieś, któryś z nich strzelił z rakietnicy. Skazanego Paweł P. zauważył koło poczty. Był uzbrojony w karabin. Ukraińcy zaczęli podpalać zabudowania i strzelać z karabinów. Wśród nich był skazany. Świadkowi udało się zbiec, ale gdy wrócił po wschodzie słońca domy były spalone, wokół było pełno trupów. Po tej pacyfikacji skazany przyszedł do sąsiada i tak jemu powiedział: — *ciebie dawno powinien szlag trafić.*

Zofia R. na drugi dzień po pacyfikacji idąc przez wieś Tarnoszyn napotkała sołtysa Józefa Słobodę i policjanta Maślija. Byliście bardzo zadowoleni, uśmiechaliście się. Skazany był z karabinem. W jednej ręce trzymał zeszyt, w drugiej rękawiczki. Ręką, w której trzymał zeszyt machał sobie i wesoło gestykulował. Nie był wstrząśnięty dokonanymi morderstwami. Zofia R. później się dowiedziała, że spisywaliście ciała pomordowanych. Przy mijaniu się usłyszała urywek wypowiedzianego przez skazanego zdania: — *ale żeśmy narobili mięsa.*

Po masowym pogromie ludności Tarnoszyna nie pozostało wiele osób narodowości polskiej, gdyż ludzie w obawie o swe życie pouciekali w różne strony do swych rodzin lub najbliższych znajomych. Na miejscu została tylko grupa ludzi starych i dzieci.

28 marca 1944 r. dziesięć dni po pacyfikacji Tarnoszyna skazany wraz z innymi policjantami ukraińskimi zatrzymał pozostałe przy życiu osoby narodowości polskiej, a następnie przyprowadził je do sołtysa, gdzie dokonana została selekcja. Wybrane 18 osób zostało wyprowadzone na pola między wsią Krzywica a Szczepiatynem i tam zamordowane. Wśród zamordowanych był 13-letni syn Górnickiego...

A oto zeznanie Teofili M.: — *Przyszli do nas policjanci z posterunku w Szczepiatynie, wśród których rozpoznałam Maślija, Chałamuszkę i Suchego. Zobaczyli na ścianie zdjęcie brata ojca w mundurze polskim. Maślij spytał się, kto to jest, na co ojciec odpowiedział, że brat. Maślij wtedy powiedział: jak twój brat jest Polakiem, to i ty — teraz wskazując na mego 13-letniego brata — jesteś Polakiem, więc pójdziesz z nami. Brat mój, wtedy małe dziecko, zaczął głośno płakać, łapiąc jednocześnie matkę za szyję. Wówczas Maślij uderzył brata karabinem w rękę. Matka zemdlała i upadła, a Maślij wraz z Chałamuszką wyprowadzili mojego ojca i brata z chałupy. Razem zebrali kilka osób i zaprowadzili na posterunek. Ja poszłam na posterunek i zaczęłam prosić jednego z policjantów, a on, żebym poszła z tym do Maślija. Poszłam do Maślija, ale ten nawet nie chciał mnie słuchać. Był wówczas na koniu i o mało mnie nie przejechał. Tych wszystkich ludzi, wśród których był mój ojciec i brat, policja ukraińska rozstrzelała. Po wyzwoleniu kopaliśmy trupy tych pomordowanych, wśród których rozpoznałam moich bliskich i pochowaliśmy na cmentarzu. Maślij pewnie myślał, że wszystkich pozabija i nikt nie będzie świadkiem tej zbrodni Na szczęście stało się inaczej. Co był winny mój trzynastoletni brat Maślijowi?*

— *Ja nie wiem jak to mogło wszystko się stać. Ojciec mój i matka, a [illegible]e ja, zawsze uważaliśmy się Polakami i nigdy się z tym nie kryłem. Nie ukrywałem się również z moim nazwiskiem, tak w czasie wojny, tak po wyzwoleniu. Ponieważ i moja żona jest Polką po wojnie opuściliśmy tereny radzieckie i osiedliliśmy się na ziemiach odzyskanych, gdzie do starości uczciwie pracowałem, nie będąc administracyjnie ani sądownie karany. Tych okropnych zarzucanych mi czynów nie mogłem dokonać, ponieważ cały czas od 1940 r. do chwili wyzwolenia przebywałem tylko we Lwowie i nigdzie stamtąd nie wyjeżdżałem.*

— Przecież przed chwilą skazany powiedział, że w latach tamtych był w Ukrainische Hilfspolizei w Szczepiatynie i Cieszanowie?

Długie [illegible] nie Wreszcie:

— *Nie moja to wina, a faszyzmu, które[illegible] nikt nie oczekiwał i nikt się nie spodziewał, że będzie taki straszny. Ziemia, każda jej piędź zbroczona krwią — oto jego skutki.*

A co miałem zrobić? Każdy chce i chciał żyć...

S[illegible] Najwyższy utrzymał wyrok — karę śmierci — w mocy.

POWRÓT DO „PANORAMY RACŁAWICKIEJ"

Coraz częściej spotykam publikacje prasowe na temat „Panoramy Racławickiej" — czytam je z zadumą, bo przypomina mi to moją przygodę z owym dziełem Kossaka i Styki — przygodę z początków lat siedemdziesiątych. Może bym i nie wracał już do „Panoramy" — dziś wszyscy o niej piszą — gdyby nie felieton, który mi przyniósł do Radia młody kolega — dziennikarz.

Pisze w nim, że przed laty Widok opublikował w „Odgłosach" felieton o „Panoramie", który pokreśliła cenzura. Gwoli prawdy muszę więc sprostować.

O „Panoramie" pisał w „Odgłosach" dwukrotnie niżej podpisany i to nie felietony, lecz duże artykuły na całą prawie kolumnę. Cenzura owych publikacji nie kwestionowała — ukazały się w takim kształcie, w jakim zostały napisane.

I dopiero publikacja drugiego tekstu wydrukowanego w grudniu 1973 roku (właśnie w numerze świątecznym) spowodowała zapis cenzorski na wszelkie publikacje o „Panoramie". Od tego czasu było w Polsce na ten temat głucho, aż do chwili obecnej.

Mój artykuł o „Panoramie" doczekał się trzech komentarzy na antenie „Wolnej Europy", co wprawiło decydentów różnych szczebli w niezwykłą nerwowość i rzuciło gromy na głowę naczelnego „Odgłosów" i moją. Ale — to charakterystyczne — nie zaraz po opublikowaniu tekstu, lecz dopiero w lutym 1974 roku, po reakcji „Wolnej Europy". Wówczas też powstał zapis na temat „Panoramy Racławickiej".

Rok po opublikowaniu drugiego artykułu o „Panoramie" — w listopadzie 1974 — ukazała się notatka PAP tej treści: „Minister Kultury i Sztuki podjął decyzję, na mocy której „Panorama Racławicka" zostanie zlokalizowana w Krakowie..." Chcieliśmy tę notatkę przedrukować w „Odgłosach" — niestety, okazało się to niemożliwe. Notatka PAP przeznaczona była wyłącznie dla „Życia Warszawy" i prasy krakowskiej. Zapewne także dla zagranicy.

Ministrem, który uchylił decyzję poprzedniego szefa resortu przerywającą prace konserwatorskie — był Józef Tejchma. Zresztą o tym, że konserwacja — znajdującej się we Wrocławiu — „Panoramy" została wstrzymana nikt mi wprost nie powiedział. Po prostu w listopadzie 1973 roku nikt we Wrocławiu nie chciał ze mną na ten temat rozmawiać. Włodek Parys, polujący na zdjęcia z prac konserwatorskich odsyłany był od Annasza do Kajfasza — aż wreszcie dotarł do dyrektora muzeum, który uciekał przed nim po całym gmachu.

Wobec takiej tajemniczości tym bardziej postanowiłem o „Panoramie" napisać. Zwłaszcza, że stała już wówczas we Wrocławiu ogromna rotunda, zbudowana dla ekspozycji owego dzieła.

Więc napisałem — i była to ostatnia publikacja na ten temat, aż do chwili obecnej, gdy „Panorama" wróciła na łamy prasy i wróciła do Wrocławia.

Podobno prace konserwatorskie zakończy się za dwa lata. Sporo czasu straciliśmy. Warto pamiętać, że „Panorama" liczy sobie dziewięćdziesiąt sześć lat. Nie jest to dużo w wypadku zwykłego obrazu, ale „Panorama" ma gigantyczne rozmiary: 120 metrów długości i 15 metrów wysokości... Taki obraz — i to przez ponad trzy czwarte swojego żywota zwinięty w rulon, przewożony z miejsca na miejsce — kruszy się i niszczeje dużo szybciej niż obraz o „pokojowych" rozmiarach.

Niekonsekwentnym i nieprzemyślanym decyzjom władz w sprawie „Panoramy" usiłowano przypisać motywy polityczne. I to z różnych pozycji. Przed siedmiu laty zarówno mnie, jak i naczelnemu „Odgłosów" zarzucano również „błąd polityczny", jakim była rzekomo publikokacja artykułu. Warto więc może przypomnieć fakt, o którym mało kto pamięta lub nie chce pamiętać.

Otóż w czasie wojny „Panorama" przechowywana była przez władze radzieckie i natychmiast po zakończeniu działań przekazana Polsce.

Po siedmiu latach od mojej pamiętnej przygody z „Panoramą" wracam powtórnie do tego tematu. Chciałbym za dwa lata wrócić do niej raz jeszcze i mam nadzieję, że ją wreszcie zobaczę w takim kształcie, na jaki zasługuje to gigantyczne dzieło.

WIDOK

„CO TU DAJĄ?"

Teraz po wszystko stoi się w kolejce. Już nawet po wódkę ludzie stoją w kolejce, co dla mnie jest oznaką poważnego schorzenia. Ale co ma zrobić człowiek, który ma jakąś uroczystość, spodziewa się gości i musi kupić butelkę koniaku lub czystej? Staje w kolejce. Nie jest to zajęcie miłe, choć w kolejce można się tego i owego dowiedzieć o życiu, poglądy wymienić, a nawet znajomość zawrzeć. Mimo to stanie w kolejce nie należy do przyjemności. Banał to, ale warto go sobie uświadomić. I pójść do kolejki.

Jak mi opowiedział sąsiad w jednej z kolejek, są ludzie którzy stają w kolejce na wszelki wypadek, a dopiero później orientują się na temat tego: „co tu dają?" Mnie też jakaś kobieta zaczepiła w sklepie spożywczym, delikatesowym i zapytała: — panie, co tu dają? Przyznam, że miałem niejakie kłopoty z odpowiedzią, bo w istocie nic tam nie dawali, sprzedawali natomiast różne rzeczy niewiele mające wspólnego z delikatesami. Kiedy na ulicy Piotrkowskiej otwierano luksusowe „Delikatesy", wyraziłem na ten temat swoją opinię, uważając, że nie mamy takich delikatesów i to w dodatku luksusowych, aby robić specjalne sklepy dla ich sprzedawania. Było to dawno, a przecież życie potwierdziło moje zastrzeżenia. Na ogół w luksusowych „Delikatesach" można kupić to samo, co w innych, mniej luksusowych i zupełnie nieluksusowych, albo tu i tam można też nie kupić tego i owego. Nie wnoszę wszakże za likwidacją „Delikatesów", bo byłaby to głupota, wierzę bowiem, że doczekamy się znów czasów, kiedy w różnych sklepach można będzie kupić różne towary i sami musimy do tego doprowadzić. Ale uważam, że w określonej sytuacji, jaka się obecnie wytworzyła, obowiązkiem każdego kierownika sklepu jest p o m y ś l e ć.

Proszę spróbować wejść do jakiegokolwiek dużego sklepu, w którym są różne stoiska i człowiek musi różne rzeczy kupować w różnych miejscach. W „samach" jest tak samo. Wejść do sklepu nie sposób, bo ludzi tam multum, kolejki się nawzajem krzyżują, nikt nie wie, gdzie i po co stoi. Awantury wybuchają co chwila.

Czy to tak trudno dokonać szybkiej zmiany stoisk, tak je sytuując, aby ludzie sobie nawzajem nie przeszkadzali, ustawiając się w kolejce do któregoś ze stoisk? Poza tym, czy to tak trudno tak ustawić sprzedaż aby artykuły opakowane, nie wymagające ważenia, krojenia i tak dalej, sprzedawano od ręki i aby w tym stoisku już nie handlowano żadnymi innymi artykułami? Pomysłów może być wiele, rzecz niestety w tym, że ich nie ma, że żaden kierownik sklepu nie wysilił się, aby ludziom ułatwić robienie zakupów przy podaży daleko odbiegającej od popytu, kiedy kolejki są rzeczą nieuniknioną.

Co można zrobić? Nie wiem. W końcu to nie ja jestem kierownikiem sklepu i nie mnie płacą za organizację sprzedaży. Nie muszę się znać na wszystkim. Mogę tylko mieć takie czy inne uwagi. Mam je i właśnie zgłaszam.

Byłem niedawno na spotkaniu dziennikarzy z prezydentem miasta Łodzi — Józefem Niewiadomskim i słyszałem, jak prezydent mówił o kolejkach. Wyrażał ubolewanie, że są, ale rozumiał, że w takich warunkach, jakie obecnie mamy, muszą być. Mimo to powiedział, że nadal podtrzymuje swoje działanie zmierzające do likwidacji kolejek. Zabrzmiało to trochę, jak fantazja, ale trzeba przyznać jednak, że prezydent ma rację. Ot, choćby poczta. Czy tam muszą być kolejki? Przy innej organizacji pracy — nie. I tak można dalej popatrzeć na różne dziedziny naszego życia.

Ale wróćmy do handlu. Przy małych ilościach różnych artykułów kolejki muszą być. Są one złem koniecznym i taki pogląd reprezentuje prezydent miasta Łodzi. A co na to jego urzędnicy? Oto przecież dyrektor Wydziału Handlu UMŁ nie wyciągnął wniosku z tego, co mówi prezydent, czyli jego zwierzchnik, i nie zastanowił się, jak można w tych trudnych warunkach podnieść sprawność handlu, aby ludzie jak najmniej stali w kolejkach. Bo na przykład w „samach" kilka panienek pilnie lustruje klientów, czy aby nie „gwizdną" jakiej szklanki lub puszki z konserwowanym groszkiem, zamiast stanąć za ladą i zająć się szybko sprzedażą tego, po co w kolejkach stoją ludzie. W tychże „samach" na wielu półkach powykładano, co tam było, szklanki, garnki, kremy, mydła, zamiast tak przemeblować wnętrze, aby ludzie mogli ustawiać się w kolejkach po to, co akurat „wyrzucono" do stoisk. I można to zrobić. Nawet więcej — trzeba to zrobić. I nie tylko dlatego, że urzędnicy UMŁ powinni mieć szacunek dla swego szefa, ale i dlatego, że są po to, aby ułatwiali nam wszystkim życie. Za to biorą pieniądze.

MARCIN RODAK

ZUPA Z GWOZDZIA

Niezwyczajne były tegoroczne święta. Może nawet nie tyle święta, co dni je poprzedzające. Administracyjne decyzje handlowców (to zacząć sprzedawać jutro, tamto „rzucić" pojutrze, z tym jeszcze poczekać itp.) stworzyły taką suspensję, że Michał Jagiełło znajdzie w nich pomysły na kilka Teatrów Faktu i Sensacji. Pewien racjonalista, który stał przede mną w kolejce po masło, stwierdził, że w tym roku będzie stosunkowo łatwo spełnić tradycję wigilijnej wieczerzy: „Zawsze zastanawialiśmy się jak przygotować wigilię, aby była nieparzysta liczba potraw. Ten rok problem rozwiązał. Czy można będzie zrobić więcej niż jedno danie?"

Stateczny krok spacerowiczów w świąteczne popołudnia, pytania sąsiadek o wolne miejsce w zamrażalniku, rozświetlone do późna okna i osiedlowe śpiewy (przytaczam parę argumentów, bo teza dość ryzykowna), świadczyły jednakowoż, iż w sumie zakupy były nie najgorsze. Nawet Andrzej Bober, który wyrasta na telewizyjną postać numer jeden, nie potrafił w swoim ostatnim programie zniechęcić do wydatków na alkohol („Listy o gospodarce" z dnia 19 XII). Najdłuższe kolejki ustawiały się nie po wędzonki, masło czy chleb, ale przed sklepami monopolowymi. Te — jak można przypuszczać na podstawie audycji redaktora Bobera (postrach ministerstw!) — sprostały całkowicie zapotrzebowaniom rynku. Tu nie ma kłopotów z opakowaniami szklanymi, z transportem, z ziemniaczanym urodzajem, tzn. nieurodzajem.

Jeśli czegoś zabrakło na świątecznym stole (tu zasłyszany dialog: „Jasio masz karpia? — Nie, nie należę do żadnej organizacji"), to właśnie „klasycznej ryby" (termin „Głosu Robotniczego"). Co się narobiło — jak mawia Jan Pietrzak — ryby przechodzą do klasyki!

Ale a propos (ach te skojarzenia!): opinia sportowa ma swoją sensację roku. Redakcja Tomasza Hopfera (chyba się nie mylę, choć dawno go w tv nie oglądałem), łagodząc swój niesławny udział w rozbuchaniu tzw. afery z Okęcia, przedstawiła program (20 XII), który miał być formą zadośćuczynienia dla pośpiesznie obwinionych. Była to audycja i solidnie przygotowana i w miarę obiektywna. Niemal wszystkie strony sporu miały możliwość zaprezentowania swojego punktu widzenia. Brakło decydentów, a jedyny, który zasiadł przed kamerami postanowił urzędowo milczeć. Głos Janusza Pichlaka i Ryszarda Dyi miał ten walor publicystyczny, jaki w redakcji sportowej powinien obowiązywać na stałe: przydałyby się tu jakieś „Listy o sporcie". „Oficjalne" wypowiedzi i „oficjalne" komunikaty (jedyny argument red. Gucwy) często bowiem były stylistycznym łamańcem rozmijającym się z rzeczywistością, żeby nie powiedzieć— z prawdą. A cała „afera z Okęcia" przypomina jako żywo (zachowując proporcje) treść książki Heinricha Bölla „Utracona cześć Katarzyny Blum". I w przypadku piłkarzy mieliśmy brukowe tytuły, wywiady z przedstawicielami „wstrząśniętej" opinii publicznej, aprioryczne oskarżenia. Teraz wielu dziennikarzy przychodzi po rozum do głowy, łącznie z Wielkim Humanistą Sportowych Aren — Bohdanem Tomaszewskim. Ocknęła się i telewizja. Gdyby nie szkody nie do naprawienia, można byłoby powiedzieć, lepiej późno niż wcale. Na nic się zdała więc obrona „utraconej czci Bońka, Terleckiego, Żmudy i Smolarka. Wydział Gier i Dyscypliny wydał „wyroki", które usuwają w cień finał sprawy byłego dyrektora „Minexu" (ten przynajmniej miał obrońców). Jak w przysłowiu, ktoś tam ukradł, a Cygana powiesili (Młynarczyk dostał mniejszą karę niż Boniek i Terlecki!). Ciekawym, czy wszyscy piszący o futbolu, długo wytrzymają z tą wodą w ustach, którą ponabierali po komunikacie Wydziału Gier. Panowie, oddychać, oddychać! Czy oprócz Ryszarda Kuleszy, paru dziennikarzy (np. Krzysztof Wągrodzki), niektórych działaczy (wierzę w ludzi) znajdzie się jakiś sprawiedliwy w tej gabinetowo-piłkarskiej Sodomie (red. Gucwa jako żona Lota!), który weźmie na siebie rolę Lecha Wałęsy?

Paradoks całej tej sprawy polega jeszcze na czym innym. Otóż wszyscy inkryminowani piłkarze zajmują pierwsze miejsca w rozmaitych rocznych podsumowaniach i tabelach. Ile się teraz trzeba będzie nagłówkować, aby jakoś to przemilczać? skreślać? poprawiać statystyki? Mieliśmy tego już przykłady w telewizyjnych audycjach. Myślę tu o „Światowej piłce nożnej" (25 XII) gdzie Jan Ciszewski „odkrywał" Andrzeja Krzewickiego (zdaje się z Arki Gdynia) jako gwiazdę zastępczą.

Wróćmy jednak do tytułu tego felietonu, bo ktoś gotów pomyśleć, iż odnosi się on do zawartości mojego tekstu. Nic bardziej fałszywego, że pozwolę sobie na odrobinę megalomanii. Zresztą każdy, kto oglądał świąteczny program TvP, wie o czym mowa. Zaiste była to zupa z gwoździa. Przypatrzmy jej się bliżej, próbować nie polecam.

Najpierw Wigilia. Tego dnia królowały (nie wymieniając królowej Bony) kolędy i pastorałki we wszystkich tonacjach i we wszystkich możliwych scenografiach. Pomijając losowanie małego lotka (nie oglądałem, więc mogę się mylić) i oba filmy, każdy program zaczynał się od kolędy, a pastorałką kończył. Bądź na odwrót. Nawet „Michałki" zawodziły po swojemu coś co przypominało „Cicha noc, święta noc". Zrozumiałe. Tradycja, a tego roku jeszcze potrzeba narodowego „kochajmy się". Najlepsza znów była Irena Dziedzic. W jej „Tele-echu" (25 XII) kolędy śpiewał cały chór alumnów.

Naszej tv wiele braków można zarzucić, ale braku umiaru z całą pewnością nie. Jak kolędy to aż do przesytu. Jak Zenon Laskowik (przecież wszyscy go lubią!) to przez kilka godzin (25 XII, program II) i same powtórki w okolicznościowym opakowaniu „świąteczny blok". Jak filmy to hollywoodzkie starocie. Najpierw „Błękitna rapsodia" — lukrowana biografia Gershwina, następnie „My fair lady" — równie podstarzały musical. Gdyby ktoś się chciał wyzwolić od śpiewającej Audrey Hepburn i zmienił kanał na dwójkę, tam przeboje (Z „My fair lady"!) śpiewała Julie Christie. Też niezły pomysł!

Trzeci rarytas filmowy to „Garść dynamitu" w reżyserii Sergia Leone. Po obejrzeniu tego „rewolucyjnego" westernu made in Italy byliśmy mile rozczarowani. Tytuł zapowiadał skromnie tylko „garść" tej Noblowskiej mieszaniny, a było jej w rzeczywistości całe tony. Tak więc po wysłuchaniu przed filmem kolejnej wersji „Lulajże Jezuniu" oglądaliśmy pirotechniczne fajerwerki, które umarłego, nie tylko śpiącego, stawiałyby na nogi. Zresztą za sprawą reżysera stawiały. Huk był tak straszny, że przez chwilę zadawaliśmy sobie pytanie — Wielkanoc to czy Boże Narodzenie?

Prawda, że ową zupę z gwoździa podawano nam w uroczystym nastroju, z odświętnymi minami i z takimiż ubiorami. Profesor Aleksander Jackiewicz przystroił się w muszkę, którą udawała jakiegoś stubarwnego motyla znad Amazonki, Krystyna Loska przydziała błękitne koronki, a redaktor Racławicki blikował srebrnymi guzikami przy wieczorowej marynarce. Przyprawą świątecznego dania były przerywniki Studia Eksperymentalnego. Nie zwróciłbym na nie uwagi, gdyby nie mój Tomek, który co jakiś czas wybiegał z pokoju, gdzie stoi telewizor krzycząc — potwór, tatuniu, potwór. Jeśli trzyletnie dziecko, które ogląda „Michałki" jeszcze jest w stanie czegoś się przerazić to rzeczywiście „eksperyment" należy uznać za udany.

Właściwe sobie proporcje zaprezentował bożenarodzeniowy „Pegaz": trochę plotek z pracowni Nasierowskiej, duży fragment z planu filmu Zanussiego o papieżu (w ogóle w TvP po raz któryś), reportaż z przygotowań nowego programu w kabarecie „Pod Egidą" i migawczkę z premiery w łódzkim Teatrze Nowym: gdyby nie jedno zdanie komentarza, można byłoby przypuścić, że nie jest to jedno z ważnych wydarzeń w polskim życiu teatralnym, ale występ jakichś amatorów z Pcimia. Ale co tu pisać. „Pegaz" jaki był i jaki jest każdy widzi. Piesek Nasierowskiej był po prostu bardziej fotogeniczny.

Aby nie przypominać baby, która napadła na Eugeniusza Pacha w sobotnim (27 XII) „Studio — 2" (Panie, w tej telewizji to tylko klepy i klepy, a nie ma horhorów — korekto, to cytat! — ani kryminałów, co to by ich policja nie złapała) chciałbym w tym świątecznym programie i coś wreszcie pochwalić. Chwalę więc udany wreszcie spektakl Teatru Faktu i Sensacji w reżyserii Juliusza Janickiego, a według mikropowieści Leonarda Sciascii „Każdemu, co mu się należy (od mafii)" za sprawny warsztat, niezłe aktorstwo, dobrą dramaturgię. Chwalę także program Jana Pietrzaka, choć dysonansowo brzmiał w tym kabarecie głos Ryszarda Marka Grońskiego. Czy rzeczywiście w TvP wszystko musi się mieścić w jakichś cyklach, ramkach i okładkach? Czy rzeczywiście niezbędny jest w „Liście obecności satyryków" pseudodowcipny wstępniak Grońskiego? On też zdaje się jest satyryk, ale jak nie każdy literat jest pisarzem, tak nie każdy satyryk jest dowcipny. Niestety.

Aby się tą świąteczną zupa nie zakrztusić, należałoby nad nią pomilczeć. Na szczęście dla telewidzów, a na nieszczęście dla programistów obu dni świąt w TvP (bo jest z czym porównywać) ostatnia sobota i niedziela (27 i 28 XII) załagodziły stan telewizyjnej frustracji. „Studio — 2" i blok „Tylko w niedzielę" jeszcze raz poświadczają, że układ programu nie może być przypadkową i irracjonalną zlepianką wedle zasady „co tam mamy".

Tak więc telewizyjne święta przesunęły się nam o dwa dni. W „Studio — 2" mogliśmy zatem z pełną satysfakcją oglądać (wymieniam w porządku nadawania) „Jasełka z Nancy" — film reportażowy o dorocznych festiwalach teatralnych i udziale w nich krakowskiego teatru „STU"; „Historię muzyki rozrywkowej" z zespołem „The Beatles" (wypadnie żałować, iż serial ów zbliża się ku końcowi); spory fragment filmu o Arturze Rubinsteinie w 90 roku życia; wykład profesora Czesława Bobrowskiego na temat naszej ekonomiki w 35-leciu. Oprócz tego pouczającą ankietę „Co cenimy najbardziej", także reportaż z Karlina, jakie takie filmy — oba z „refleksją", że wszystko jest dobrze, dopóki się nie wmiesza w to kobieta oraz stałe już atrakcje w rodzaju „Kino-Oko" i „Muppet-Show".

Jak z tego wyliczenia wynika, wypisałem niemal cały sobotni program. Podobnie należałoby postąpić z blokiem „Tylko w niedzielę". I tu film o „erupcji nadziei" czyli o pożarze szybu w Daszewie—Karlinie, a także film Stefana Szlachtycza w siedmiu mini-odcinkach „Kto za?", spotkanie z Marią Kuncewiczową i Czesławem Miłoszem (reportaż Tadeusza Kraśki z uroczystości wręczenia Nagrody Nobla) oraz nobilitowane (zasłużenie) planszą Teatr Telewizji — Scena Współczesna „Szelmostwa lisa Witalisa" Macieja Wojtyszki. Bajka ta, jak wiadomo, aby w TvP mogła być przedstawiona, odczekała parę miesięcy — z których najważniejszy był sierpień. O paradoksie naszych dekad!

I panie miały swoje poświąteczne wytchnienie — mogły się wzruszać i ronić łzy nad losem Montgomery Clifta i równie atrakcyjnej, choć szalonej, Liz Taylor oraz tej „trzeciej" — wiernej do końca, oczywiście „happy" w filmie Edwarda Dmytryka „W poszukiwaniu deszczowego drzewa".

Przed nami i przed TvP Nowy Rok 1981. Oby i w tym przypadku zrealizował wszelkie nasze nadzieje!

GRZEGORZ GAZDA

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy"; al. A. Mickiewicza 11; kod 90—438 Łódź. Telefony: sekretariat i redaktor naczelny 652-44, sekretarz redakcji 680-99, publicyści 677-70. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo do skrótów. Informacje o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW „Prasa—Książka—Ruch" i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej — 156 zł. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa—Książka—Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw 00 958 Warszawa, ul. Towarowa 28, konto NBP XV odd. ial w Warszawie nr 1153 201045-139, prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa—Książka—Ruch" Kombinat Wydawniczo-Kolportażowy w Łodzi. Adres: ul. Piotrkowska 96; kod 90-103 Łódź. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762. 2864. G-2.